Cena 8 zł.

WIEŚ

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok III | Łódź, 17 listopada 1946 r. | Nr 45 (73)

Jan Aleksander Król

Z ZIELONEJ ANGLII

Listy z Anglii (II)

(List otwarty do Mariana Kubickiego *))

Marianie!

Piszę do Ciebie z zielonej Anglii. Dlaczego do Ciebie? Z trzech powodów. Nie znałeś matki — byłeś obieżyświatem — na życie społeczne patrzysz, jak na teatr, w którym każde widowisko można uczynić bardziej interesujące. A właśnie w zielonej Anglii te trzy momenty rzucają się w oczy. Porozmawiajmy.

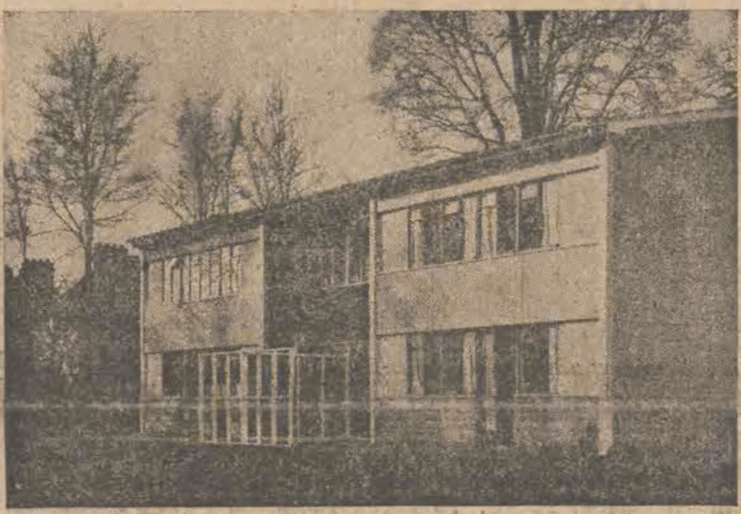
Ojciec Twój karczował we włoszczowskim pniaki na porębie. Wyrwał lasowi 6 mórg pod rolę. Nie umiał czytać, ani pisać. Miałeś trzy macochy, ale matki brakło Ci od najwcześniejszego dzieciństwa. Znamy Cię z tej strony. Niezaspokojony liryzm czułości rodzinnej rozłzawia Twoje przemówienia polityczne i gospodarcze. Matka, to dom, pierwsza, najbliższa instytucja opieki i serdeczności. Życie Twoje układało się tak, że nigdy nie posiadałeś nawet porządnego pokoju. Cele więzień i baraki obozów śmierci, to wcale nie krótki rozdział z Twojej biografii. Od wnętrza domu, od porządku, jaki w nim panuje, zależy wiele. Nie miałeś domu i jako działacz walczysz w **gruncie rzeczy o dom.** Zawsze znajdziesz w przemówieniu, nierzadko niespodziewanie, miejsce na buty, na lampę, na jadło, z braku których — my słuchacze, przypominamy sobie — jaka troska, jakie nieszczęście gości w chałupie chłopskiej.

Marianie, w zielonej Anglii robotnik rolny mieszka często w 4 pokojach z kuchnią. Meble są mieszczańskie, fotele, dywaniki, w ścianach szafki, kuchenka z urządzeniami. Pracuje 8 godzin. Pracuje na polu **dla domu,** pracuje pod chmurnym niebem, aby **wrócić do domu.** O sto jardów szkoła. Z pomiędzy domów wywija się asfaltowa szosa. Ta szosa to jeszcze jeden symbol wyspiarskiego charakteru Anglii. Jej drugie morze tworzy bezmiar łąk, wytwór hodowlanej gospodarki. A asfaltowe szosy, nieprzerwanie bramowane murem, wydaje się, jakby stanowiły odnogi portowego mola w Londynie, Liverpoolu, czy Glasgow. Do farm docierają autobusy. Gdzie się zaczyna, gdzie kończy mieszczańska, przemysłowa Anglia?

* * *

6 proc. ludności w Anglii zatrudnione jest w rolnictwie, 6 proc. i na polskiej wsi mieszka jak na nasze stosunki dostatnio. To co tu zaskakuje i budzi zazdrość, odnosi się do faktu społecznego. Obraz naszej wsi ujęty syntetycznie jest tragiczny. Obraz angielskiej daje w całości wrażenie dostatniości. Oto różnica. I nie kończy się na tym, bo w Polsce jest wieś, w Anglii jej nie ma. To co mogłoby jej odpowiadać wygląda na miasteczko i na letnisko. To u nas życie chłopskie rozgrywa się głęboko w bok od szos. Tu jest przyczepione do krętego mola asfaltu. Z farmy o 450 akrach wyruszają 4 traktory, 4 samochody ciężarowe, maszynowa młockarka, równocześnie prasująca słomę, wychodzi 300 krów, 100 owiec, 20 koni rasowych. Po powrocie z tej wyprawy na 8 godzin robotnik przebiera się codziennie. Jeśli nie ma w domu łazienki, jest umywalnia z wodą bieżącą. Dom otacza betonowe obramowanie. Na progu kończą się już ciężkie prawa pola: pot, ziemia, kurz plew i zaduch gnojówki.

30 proc. ludności mieszka w tych nie-wsiach. Chłopów na własnej gospodarce (5—50 ha) nie ma. Jedyny odpowiednik to ów robotnik rolny, najczęściej technik od traktoru, od żniwiarki, od młockarki, od mleczarni, od żywienia bydła, od zapobiegawczej akcji szczepień i dezynfekcji. Reszta — to robotnicy w przemyśle rolnym, w przemyśle innym, urzędnicy włącznie z kasjerami kina, sklepikarze i emerytowani



Produkowany seryjnie domek dla ludzi pracy

pułkownicy. Te najstarsze domki (murowane), których datę powstania możesz nieraz odnieść nawet do połowy XIX wieku zajmuje, jak myślisz, biedota? Nie, snobująca się inteligencja z wielkich miast. Powrót do natury jest tu cofaniem się w historię. Z pietyzmem cofają się zamożni Anglicy w dawnejsze, uboższe, dokuczliwsze urządzenia. Ten smak minionej cywilizacji daje im wrażenie odchodzenia od cywilizacji wogóle. Pułkownik Blimp powiada: „Hm... panie tego, natura ciągnie wilka do lasu". Ale ten wilk za powrotem chodzi po strzyżonym parku, odbiera regularnie rentę, czyta gazety o paromilionowym nakładzie, słucha radia, telefonuje do czynnych przyjaciół, powierzając im nie ostudzoną pasję intratnego obracania procentami od uciułanego fundusiku. A natura? To stara kuchnia z blachą, to brak łazienki, to lampa naftowa. Robotników rolnych nie stać jeszcze na to wyrafinowanie. Oni mieszkają w tych domkach, które wyglądają na nowoczesne wille i posiadają kanalizację, elektryczność, pralnię.

* * *

Marianie, w jedenastym roku życia wyruszyłeś z zapadłej wioski w świat. Co cię popchnęło? Coś o tym świecie wiedział? Do czego szedłeś bez grosza w kieszeni? Tutaj, w tych nie-wsiach można za darmo uzyskać wiedzę, której było Ci brak. Czytam wspomnienia Eric Bligha „Inny sklep, po którym krążę dotąd myślami, może jeszcze bardziej przypomniał bajkę. Był to Urząd Pocztowy, a taki był wspaniały, iż zajmował dwa połączone sklepy. W jednym mieścił się właściwy urząd oraz ilustrowane pisma i cały świat zabawek, w drugim odbywała się sprzedaż galanterii. Tam także wszystko budziło moją ciekawość i uszczęśliwiało mnie". W innym sklepie oglądał w dzieciństwie książki. „Tam po raz pierwszy poczułem aromat Wschodu". A z drugiego końca świata, z tego właśnie Wschodu, z Australii, startuje do Anglii, najsławniejszy dziś karykaturzysta, Low. Mając czternaście lat zamieszcza rysunki w prowincjonalnej gazecie australijskiej. W dwudziestym roku awansuje na rysownika najpoczytniejszego dziennika w Sydney, wkrótce dostrzega go stara Anglia, ściąga do Londynu, aby w jego karykaturze znosić pokornie chłostę nawyków i konserwatyzm metropolii. Low, ten największy prowincjusz (10000 km z Australii do Londynu) z dystansu, z zewnątrz niejako uczy Starą Anglię sądzić jej wewnętrzne życie,, w którym ona się gubi, uwikłana w bariery murów i domów - twierdz, w bariery pomiędzy klasami i jednostkami, pomiędzy życiem publicznym i prywatnym.

W Anglii wyszło z użycia słowo: **chłop.** Te już nie-wsie nie zawierają odrębnych treści społecznych. Wielka Brytania żyje nazbyt zagadnieniem rynku światowego, zanadto jest zaawansowana w cywilizacji technicznej, aby wewnątrz nie zapanował ogólno - narodowy standart kulturalny, silniejszy nad różnice etniczne (Anglia, Walia, Szkocja), silniejszy nad różnice klasowe. Farmer zarabia miesięcznie 200 funtów, robotnik rolny 12 funtów. Ale ta wielka rozpiętość w ilości nie podrywa już podstawowych elementów wspólnej jakości cywilizacyjnej. Każdy Anglik z doświadczenia wie, co to technika przemysłowa, każdy partycypuje w tym samym modelu kultury, choć masy robotnicze muszą się zadowolić jego najlichszą reprodukcją. Na tych nie-wsiach nie ma politycznej partii chłopskiej, nie ma w kraju wielu partyj. Są dwie, które wyznacza konflikt klasowy, nie środowiskowy. W wiejskich uczelniach (odpowiednik naszych Uniw. Ludowych) dobrze się czują latyfundyści, zajeżdżający własnymi autami z pałaców i zamków. Ale robotnik rolny należy do Związków Zawodowych i w tym punkcie: społecznej organizacji warunków bytu kończy się kulturalna zbieżność.

Byłem w mieszkaniu pewnej staruszki. Kiedyś — robotnica rolna. Siedziała na wytartej kanapce z sąsiadką, obie ubrane, jak na starych ilustracjach nasze paniusie z Towarzystwa Św. Wincentego à Paulo z miasteczek o 40 tys. mieszkańców. Rzekłbyś przedmieście Kielc, Sandomierza, Częstochowy. Stary kominek na węgiel, wypłowiały wytarty gryps na otomanie, na fotelach, stolik z serwetą. Za kuchenką, za pralnią, ogródek. Po kręconych schodkach wchodzi się do pokoju sypialnego. Nawet tu to samo szerokie łóżko sprężynowe jakich identyczny rozmiar spotkasz we wszystkich hotelach, wielkich i małych, w centrum Londynu i dalekim miasteczku Szkocji. Na górze umywalka, komódka z lustrem, zachowane szczotki, grzebienie, puzderka, resztka kiedyś używanych przez młodą kobietę przyborów toaletowych. Na ścianach zdjęcia synów: z jakiejś wycieczki na okręcie, z wystawy w Londynie, z meczu sportowego w Glasgow, a tu południe Anglii. Jeden syn pracuje w cegielni, drugi w fabryce dżemu. Obaj w okolicy tej wsi, nie-wsi. Staruszka od lat jest sama, wysiaduje w fotelu przy otwartych drzwiach, które wychodzą wprost na ulicę — szosę. Bierze rentę emerytalną dziesięć szylingów (pół funta) tygodniowo. Przed paru dniami rząd Labour-Party podniósł jej emeryturę na 28 szylingów. Właśnie o tym rozmawiała z sąsiadką, której szeroki czarny kapelusz podkreśla uroczysty charakter wizyty. Obie patrzą na fotografie, to stamtąd przyszła ta podwyżka. **Stamtąd...** przychodzi tu wszystko, choć wiele z tego osiągnęły i osiągają głowy urodzone w tych nie-wsiach Mandygleyu, Grantchester.

* * *

Ciebie, przyszły obieżyświacie, wypchnął ze wsi nie urok miasta, nie pomoc idąca stamtąd. Wypchnęła Cię tradycja wsi, tradycja okolicy. Żyje u was pamięć Kościuszki, pamięć udziału chłopów w powstaniu roku 63-go, pod komendą Czachowskiego, żyje echo 1905, a najmocniej „zaraniarzy". Leżą pochowani poza cmentarzem. Może dlatego nie umarli całkiem. Mały chłopiec, wiedziałeś już o nich dwie rzeczy: wyklęci i postępowcy. Nie chodzi o słowa. Nie zrozumiałeś obu. Ale wiedziałeś o szkołach rolniczych, pierwszych w Polsce: Pszczelin, Sokołówek, Rożnica. Oni je zorganizowali. Szli od Was chłopcy do seminarium nauczycielskiego, 30-tu za Twojego dzieciństwa. To dużo. To są przecież te okolice, gdzie w nowej Polsce powstało chłopskie gimnazjum w Szczekocinach. Nic się nie rodzi bez uprawy. Ach, był tam krawiec, socjalista. „Zaraniarze" zapoczątkowali świetlice, zostawili dużą bibliotekę. Aleś Ty pewnie nie poczuł „aromatu Wschodu". Przeczytałeś całego Kraszewskiego i w jedenastym roku uciekłeś z domu na Śląsk. W Czeladzi i Piaskach na odkrywkach nosiłeś



Stara siedziba landlorda

węgiel, plątałeś się w hucie szklanej, odnosiłeś walizki, myłeś talerze, byłeś u stolarza, szewca, w piekarni. Pojechałeś na Pomorze, do Wilna, Lidy, nie mając 15-tu lat zgłosiłeś się do Reduty Osterwy. Potem wróciłeś do wsi. Skończyłeś Szkołę Rolniczą, przeszedłeś kurs w Szycach u Solarza.

————

*) Marian Kubicki, poeta chłopski, działacz polityczny, jeden z organizatorów przed wojną młodzieżowego Frontu Ludowego, redaktor „Ugorów", „Dziennika Ludowego".

Gdyby mnie spytano, czy robotnik rolny w Anglii ma wybór? Odpowiedziałbym — nie. Dla niego istnieje jedno tylko miejsce: w Związku Zawodowym. Nie rozstrzyga tu nazwa „Robotnik". Rozstrzyga jedność klasowego interesu i położenia. Ogólnonarodowa jedność cywilizacyjna przekreśla podział środowiskowy.

Ten w polu i ten w fabryce należy do tego samego świata pracy. Mógłby ktoś przypuszczać, że nasz chłop jest gospodarzem, który pracuje u siebie i gdyby tacy byli w Anglii... Na to są dwie odpowiedzi: 1) Anglia rozwijając przemysł (jeszcze w swym okresie „wełny") dostosowała żelazną ręką rolnictwo. W nowym planie gospodarczym zmieniona została hierarchia elementów ekonomicznych. Zmieniona gwałtownie i strasznie. Chłopi zostali wyrugowani z ziemi. Z dwóch powodów. Potrzebowały ich fabryki. I to taniej siły roboczej. Nadprodukcja rynku robotniczego leżała w planie kapitalistycznej industrializacji. Drugi powód — rolnictwo na biednej glebie wegetowało. Opłacalność na o-ceny wyjeżdżających kompanii wymagała radykalnego cięcia: żywność dowieźć, wełny i ludzi do fabryk mieć pod dostatkiem. Z tą ewolucją angielską nie jest tak gładko. My nie umiemy widzieć w historii Anglii jej przełomowych, ostrych momentów. Anglia jest narodem wielkich posunięć, wielkich szczególnie w konsekwencjach. Zdobycie sobie jeszcze w średniowieczu przez mieszczaństwo pozycji szachującej, to odpowiednik, żal się Boże, statutów Piotrkowskich i „Nihil novi" — przegranej naszego stanu średniego. Stłumienie katolickiej hegemonii Stuartów, to zapewnienie mieszczaństwu dobrego rozwoju, to wzbogacenie się wspaniałą klasą rzemieślniczą — gnębionej przez inkwizycję Flandrii, to zagwarantowana szansa na rozwój nauk przyrodniczych i postępu technicznego. Wyjście na oceany po hiszpańskim Kolumbie, to patent na imperium światowe w przyszłości. Nie mówić o ewolucji nam, którym paroksyzmy historii rwały dzieje narodowe i w naszej tradycji, conajmniej do czasu, powtarza się i musi się powtarzać — **metoda zrywów**. Ale w zrywach nie idzie o sam roboczy wysiłek, idzie o jego śmiały plan i historyczne atuty.

Druga odpowiedź: gdyby w Anglii byli gospodarze... w tej cywilizacji, do jakiej Anglia od wieku należy, musi być maksymalnie opłacalne rolnictwo. I też byłoby... hodowlane. Też byłyby farmy, z małych (do 50 ha) scalałyby się w duże, albo w prywatnym ręku, albo w spółdzielczej organizacji. Robotnik rolny zarabia dlatego tyle prawie, co robotnik w fabryce, a nawet w kopalni (górnik i robotnik w mleczarni 5 f. tygodniowo), że Anglia ma wielki przemysł i ma farmy. Mały rolnik w Anglii zdychałby z głodu, w konsekwencji uciekłby do miasta. Robotnik rolny to nie jest społeczna i ekonomiczna degradacja w angielskim świecie pracy, choć tu najbardziej pokutują tradycje wyzysku. To co w zielonej Anglii oglądam, to jest z punktu widzenia techniki pracy — płatny kołchoz. Z punktu widzenia społecznego — feudalizm oświecony spokrewniony patronatem Związków Zawodowych. Technicznie udany kołchoz, bo wyrósł na podstawach wielkiego bogactwa przemysłowo - kolonialnego Anglii. Rynek wewnętrzny, to też rynek. Przemysł kapitalistycznej Anglii inwestował go przez stulecia, unowocześniał warsztat rolny, zbliżał, dostosowywał do chłonności jakiej potrzebował w swoim interesie. Czynił to tym łatwiej, że przecież szło o interes lordów. Społecznie ten kołchoz ma zasadniczy grzech. Farmer na 500 akrach osiąga 2,000 funtów rocznie i powiększa nadto majątek żywy i martwy, robotnik rolny osiąga 50 funtów i nie będzie miał więcej nad dwie świnie i nie przestanie być lokatorem w domku. Nie ma racji aby „nadwartość" albo nie została rozdzielona dla celów konsumpcyjnych robotnika, albo nie została przelana w inwestycję społeczną. Ale to nie kraj uspołecznionej gospodarki. Prosperity całego ostatniego wieku W. Brytanii wyniosło robotnika angielskiego ponad poziom stopy życiowej kolegów europejskich. Ale straty imperialne, ale konkurencja gospodarcza wchodzących do startu młodszych cywilizacyjnie narodów, mogą obniżyć zarobki robotników angielskich do cyfry, któ ra spowrotem zaostrzy konflikt klasowy, tak jak w ciągu tego wieku różnicę jaka istnieje między wspaniałym pałacem a domkiem rolnika, zacierał fakt, że lord i robotnik żyli przede wszystkim z dalekich lądów, w niepisanej zmowie wyzysku społecznego dokonywanego tam daleko... W tym sensie i robotnik angielski nie jest czystym proletariuszem jak w podobnym sensie nie był równościowcem nasz „włościanin" „kułak", gbur. A komornicy i parobcy u nich?

A nawet i tu odnawiający się specyficzny przywilej posiadaczy — „Kolęda" na dziewczęta najuboższych, „pasterki" do bogaczów chłopskich, „dziewki" do miejskich domów. W rolach — rozmaitych. O tę dwuznaczność i poniżanie w nich ludzkiej godności — jak pisał Olcha o Podkarpaciu — „nikt się nigdy nie upominał". Z kompleksu bogaczy i biedniaków wiejskich nie może się wyzwolić w swych opowieściach zawzięty pamiętliwy Józef Pogan. To tak jest, a raczej — było.

* * *

Kimże ty byłeś w dziecięcej wędrówce obieżyświata? Co znaczy ta Czeladź i Lida, te huty, kopalnie, te terminy u szewca, krawca, piekarza, te walizki, to kelnerstwo między 11-ym a 15-ym rokiem życia? Było Ci dobrze? Znamy stan Twojego zdrowia, podkopany pierwszy raz na przyzbie, drugi raz w świecie. Wychodziłeś „wsiowy". U nas istnieje odrębność środowiska, jest wieś i miasto. Twoja wielka przygoda dała Ci poznać smak losu robotniczego. Nie w utuczonej Anglii, a biednej, zacofanej, „pańskiej" Polsce. Co, może Cię zaagitowano? Czternastoletniego chłopaka? Nie wierzę. Obyło się bez ideologii. Rozstrzygnęło doświadczenie. W tym fragmencie wczesno - młodzieżowych paru lat przeszedłeś indywidualnie wtajemniczenie w strukturę kapitalizmu. Skutki? Nie przekląłeś maszyn i komfortu nowoczesnej architektury... Cywilizacja techniczna oczarowała Cię. Ten ostatni skok do Reduty ma wymowę. Cała nowość i doskonałość urządzeń technicznych zbudziła w Tobie aktora i reżysera. Przeszedłeś przez zawody, nie ustaliłeś się. Widziałeś tyle w nazbyt aż krótkim czasie, że wszystkiego stałeś się miłośnikiem i odtąd zaczyna się u Ciebie widzenie życia jak teatru, odtąd góruje postawa reżysera. Dawać asumpt, aby taki teatr kolosalny, nowoczesny zagrał się na wsi. Stwarzałeś go nie raz, jako dosłowną ułudę teatralną, ale nie mogło Ci to wystarczyć. Dla twoich kolegów od wsi nie oderwanych teatr był przyjemnością po pracy. To, co oni mogli wymarzyć, zamykało się w tradycjach legend, pieśni, obrzędów — t.zn. — w przeszłości. A ją zagrać można tylko na deskach, tylko jako fikcję sceniczną. Ty widziałeś prawdziwe fabryki, prawdziwe, nieznane na wsi towary, prawdziwe osiągnięcia techniczne, o których można by snuć opowieści nie mniej na wsi fantastyczne niż te o strzygach i płanetnikach. Dlatego poszedłeś dalej. Niech będzie teatr historii! Teatr, w którym umowność ludzi rzeczywistych obowiązuje nawet we snach, obowiązuje potomnych. Nie wszedłbyś na tę drogę, gdybyś nie odbył tej robotniczej kalwarii.

I nie wiedziałbyś, jak ten teatr lepszego życia na wsi zrealizować, gdybyś nie poznał klasy robotniczej, jako **ofiary zorganizowanego wyzysku** i jako **wytwórcy oglądanych cudów.**

Wyprzedziłeś swoim losem historię wsi. I przed Tobą i równo z Tobą przenikały do miast setki tysięcy chłopów, ale i z niewykwalifikowanymi robotnikami i z inteligentami działo się to, co w bajce o czapli, rybkach i raku. Kogo zabrała, ten wieści spowrotem nie przyniósł. Analogia szwankuje w odniesieniu do chłopów - robotników. Ich wieści, a często doświadczenia wracały. One to były źródłem rzeczywistego postępu technicznego i społecznego na wsi. Ci „zaraniarze", jak w Twojej okolicy, którzy wyrośli na drożdżach socjalizmu, i ci nawet bez ideologii, z Ameryki wracający z niezamąconym szacunkiem dla tradcji — i oni jednak umieli nauczyć jak z chłopa robi się przedsiębiorca, kalkulant, specjalista... To o nich można by powiedzieć „modli się pod figurą, a diabła ma za skórą". Ten diabeł czeka jeszcze na rehabilitację socjologów. Gorzej było z inteligencją, z politykami Ruchu Ludowego, ci odcinali wieś od miasta. W szczegółach łączyli, w generaliach budowali mur — i społeczny i cywilizacyjny.

W parę lat potem stałeś się jednym z głównych organizatorów młodzieżowego Frontu Ludowego, wówczas, kiedy ze Związku Młodzieży Ludowej „wiciowa" secesja, wyzwalając się od patronatu ziemian z Kół Rolniczych, zagnała w rezultacie samodzielną młodzież wiejską w ślepą uliczkę samowystarczalności. Nie zamykam oczu na momenty zbliżeń i wspólnych manifestacji. Nie mniej, w swym trzonie Związek kwitował klasę robotniczą sentymentem bez pokrycia w konsekwentnym współdziałaniu, sprzyjał temu zamącony przez ideologów ludowych mit cywilizacji technicznej. Robotnicy w rozumieniu młodzieży wiejskiej byli nie tylko ofiarami kapitalizmu, w nie mniejszym stopniu: mechanizacji, fabryk, przemysłu. Toś Ty zobaczył go, twórcę bogactwa narodowego i Tyś nie ześlizgnął się po negacji kapitalizmu na równi z faszyzmem, mieszczaństwem, komunizmem, jak to właśnie uczynił Związek. Tyś go w hierarchii wrogów postawił na naczelnym miejscu, reszta okazała się pochodną.

Co mają robić narody zapóźnione? Reprodukować wiernie za przodującym systemem, w który słabo wrosły? Wówczas nie wyrównają dystansu, jaki ich dzieli od przodujących krajów. Nie chodzi tu o gonitwę snobistyczną pod hasłem „nas też stać, nie będziemy gorsi"! Problem ma wymowę bardziej dramatyczną. Nie wyrównać to często w historii znaczyło przestać w niej istnieć. A wyrównać to tyle znowu, co przeskoczyć. Gdybym był Anglikiem nie propagowałbym technicyzmu. Byłoby to wywalanie otwartych drzwi.

Tam wszyscy i wszystko wychowuje do niego. Nawet krytyka literacka głosi, że „naczelnym zadaniem poezji jest cywilizowanie wewnętrznego życia człowieka (Cecil Day Lewis). Poco specjalni apostołowie? Ale Polska nie Anglią i dlatego apostołowie technicyzmu są u nas rewelatorami, muszą jednak w metodzie wskazać skok. Technicyzm w Polsce po przez kapitalizm? A zajęta przez rekiny kula ziemska? A dwa wieki handlu i przemysłu światowego opartego o kolonie — czy są to wzory możliwe do naśladowania?

* * *

W okręgu rolniczym Cambridge powstały na parę lat przed wojną pierwsze Village Colleges (Uczelnie Wiejskie), które na pierwszy rzut oka wydają się być odpowiednikami naszych Uniwersytetów Ludowych. Ale skoro tu nie ma wsi, nie ma chłopów?... Twórca tych uczelni, nauczyciel „wiejski" Morris Henry uzasadniał ich doniosłość tezami, które naszym tradycjonalistom bardzo się podobały: 1) „Jesteśmy jednym z najbardziej zurbanizowanych krajów na świecie..." 2) „Nigdzie indziej nie jest bardziej ważnym zachować obok życia wielkomiejskiego form życia wsi różniących się od życia miast". Czy można te argumenty brać dosłownie i na serio? Morris jest w pierwszym rzędzie dumny właśnie z urbanizmu, a to co nazywa odrębnością wiejską w angielskim wydaniu oznacza prowincjonalizm. Bo w rezultacie „gdyby do kwitnącego przemysłu rolnego i dobrych warunków mieszkaniowych można było dodać dostateczną możliwość kształcenia się, rozrywek i wyżycia się kulturalnego, mielibyśmy na wsi wszystkie podstawowe elementy zadawalającego życia". („The Village College").

Jeśli zauważyć, że w normalnych szkołach na tych wsiach - miasteczkach nauka o przyrodzie obraca się w granicach rolnictwa, chemia — gleby i nawozy sztuczne, fizyka — to maszyny rolnicze (motory wybuchowe), biologia — to jarzyny, rośliny siewne i zwierzęta domowe — jakże by Uczelnie Wiejskie miały ominąć praktyczne zadania? Mają one służyć w zasadzie starszemu pokoleniu. Okres formalnej nauki jest tylko krótkim fragmentem. W praktyce człowiek uczy się całe życie. Dalsze dwa wnioski: 1) kształcenie się w tym, w czym każdy już wie coś z doświadczenia, nie forsowne ale regularne i właściwie nieprzerwane; 2) nie przez wykład a przez czynność.

Tezy te w ogólnym sformułowaniu zasługują na szczególną uwagę w wychowaniu dorosłych. Warto je przemyśleć w odniesieniu do naszych warunków i potrzeb. Ale w Wiejskich Uczelniach program ten realizuje się w osobliwie angielski sposób. Oto zadaniem kierownika jest „grać rolę gospodarza domu na towarzyskim zebraniu". Dom to nie byle jaki. Jego architektura stała się najważniejszym problemem dla założycieli. „Wiejska odrębność" poszła na kołek a po angielsku wróciła sprawa, jak wyznaczyć uczestnikom nieomal krok i gesty przez sam funkcjonalizm budynku. I zrobiono co się zowie pułapkę. Przypomina magazyn braci Jabłkowskich. Olbrzymi gmach nowoczesny ze skrzydłami spadającymi do parteru, ściany z okien. Panuje tu idea wystawy: i w dzień i wieczorem powinien przyciągać, powinien być atrakcją. W jakim stylu? W stylu klasycznego magazynu angielskiego, w którym z góry wiadomo, że ujrzy się wszechświat towarów. Tu idzie o wszechświat zainteresowań czynnych, ściślej, angielskich **manii**. Są one różne, ale w niższych warstwach dadzą się sprowadzić do tego, co Niemcy nazywają „gemütlich". Na Londyńskiej wystawie „Co Anglia może zrobić" tłumy codzień rozkoszują się wnętrzami pokojów: kanapka taka czy taka, fotel tu, czy tam, dziesięć czy dwanaście szafek w ścianie, serwisy, radia, toalety, cuda kuchennych urządzeń.

Ludzie stoją pół godziny przed tablicą ilustrującą postęp w kieliszku do jajka. Rozgrywa się tam walka z tradycją w imię oszczędności materiału, jego trwałości, odpowiedniości kształtu, wyeliminowania chybotliwości, ekonomii ruchów użytkującego. Taki dopiero... piękny. A kiedy Anglik się zapalił do sprawy kieliszka do jajka, czekają dwie puszki na pensa. Tu czy tam, odrazu ankieta, a z niej dyrektywa do fabryk.

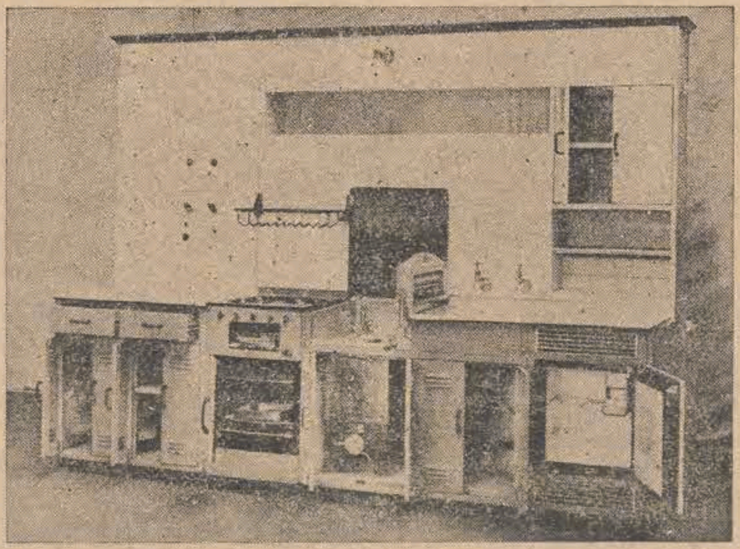
Otóż w Wiejskiej Uczelni odbywa się równocześnie około 15 kursów. Czas zajęć? 8—10 wieczorem. A kursy? — Chór i taniec, dramatycza sekcja, robienie w drzewie, w metalu, krwiectwo, gotowanie, maszyno - znawstwo, koło dyskusyjne, dołączają się Towarzystwa z miesięcznymi posiedzeniami: Rolników, Pszczelarzy, Filmowców, Kobiet, Gramofonu, Religijnych sporów itd. Każdy kurs ma dwie godziny w tygodniu. Rozkład pozwala co najwyżej być uczestnikiem 2-ch kursów. Pracownie wyposażone są w imponujące środki techniczne. Tańczą panie po 60-ce obok 16-latek. „Taniec wiosny" wywołał we mnie bardzo sprzeczne uczucia. Amatorami od religijnego wiercenia w brzuchu są z reguły roczniki 40—60. Na gotowaniu są i córki robotników rolnych, ale one same to już najczęściej urzędniczki, nauczycielki. Maniakiem robienia krzeseł jest kasjer miejscowego kina. Pociechą w modelowaniu widelców i łyżek z masy plastycznej dwóch robotników rolnych (techników).

Marianie, czuję, że parskasz śmiechem. O czym ja opowiadam? O Anglii, Przyjacielu, o Wiejskich Uczelniach. Poczekaj na morał. W Uczelni jest pokój klubowy z fotelami - olbrzymami, gdzie podają herbatę i sandwicze. Ale na dyspucie religijnej też są fotele i popija się również herbatę. Wygoda i swoboda oto hasła naczelne. Rozstrzygające jest to, że jak mówi Morris — „regularne branie udziału w takich czynnościach umożliwia ich uczestnikom prowadzenie bardziej świadomego, bardziej intelektualnego życia". Bez przesady. W pogadankach na 700 kursantów (15 kursów) bierze udział 9 proc. studentów. Najlepiej są widziane dyskusje improwizowane, bez programu. Pomaga radio. „Pomagamy wam zacząć rozmawiać" i dalej już starsi panowie dają sobie radę.

Wiejska Uczelnia pomyślana została jako centrum „bardziej świadomego życia" okręgu wiejskiego (12 wsi — 9 tysięcy ludności). W Uczelniach znajduje się 6 proc. okręgu, akcje studentów w terenie włączają pośrednio drugie 6 proc. Wybudowanie Uczelni kosztowało 40 000 funtów (40 milionów zł — budżet całego Z.M.W. na 4 lata). Budżet roczny Uczelni 5 milionów zł.



Wnętrze spółdzielczego sklepu konfekcyjnego



Urządzenie kuchni produkowane seryjnie

Czy w rezultacie Wiejskie Uczelnie zachowują formy życia wiejskiego? Oczywiście, nie. Osiąga się tu zgoła inny cel. Okręg wiejski zawiera w większości ludność, która z pracy zawodowej i trybu życia jest drobnomieszczańska. A z tą prowincją ma się rzecz podobnie jak np. z górnictwem i dokami portowymi. Najmniej tu chętnych do pracy, ciężka i poniżająca. I w górnictwie a jeszcze bardziej w portach wielu jest cudzoziemców. Prowincja ma też swoje funkcje, a choruje na snobizm wielkomiejski. Usiłuje się ją zatrzymać przez zastąpienie blasków Londynu ośrodkiem sensacyjnym, a na gust prowincji wspaniałym. Ta metoda wytwarza jedność modelu kulturalnego, zamiast różnicować kulturalnie. Prowincja obrasta w cierpliwość właśnie za cenę namiastki tego, co w wielkich miastach ją pociąga.

Model jest wspólny — magazyn rozrywek, wiążących z domem, wiążących z nieprzerwanym obrotem produkcji przemysłowej, kokietującej modami, wijącej się w trudnościach surowcowych, urządzeń technicznych, a nie przestającej udoskonalać wyrobów. Ten proces jest ważniejszy od polityki, od sztuki, filozofii. Z niego nie wolno wypaść obywatelowi. Prowincja w swoich maniach ma pasjonować się w rezultacie tym procesem. Te łyżki z masy, stołki, talerze drewniane, sukienki, obiady zahaczają ją **czynnie** o rozpędzone koło industrializacji. Ale tych Uczelni jest tylko 6 proc. Tak to są jednak ci najniebezpieczniejsi, energetycznie — elita. Ona właśnie pierwsza by zbiegła. Ma tu i przyjemności estetyczno - intelektualne. Nie przesłoni to jednak prawdy, że słuchacz nie kształci się **ogólnie i wielostronnie,** ale właśnie **jednostronnie.** Wielki magazyn zaspakaja pasje, **manie na użytek prywatny.** Tej wierchowce — 6 proc. służy wielka i kosztowna instytucja, wierchowka już **nikomu.**

Marianie, oto masz duży teatr. Cobyś Ty z niego uczynił? Nas nie stać na to, aby 6 proc. bawiło się głupstewkami przyjemnymi jako pamiąteczka, czy szczegół domowy. 15 kursów w jednym gmachu! U nas byłyby to kursy działaczy - specjalistów. Ogniwo piętnastu różnych fachowców zostałoby rzucone na gminę, potem na każdą wieś. Ale to jeszcze marzenie.

Marianie, spytaj Uniwersytety Ludowe, spytaj „Wici" — dlaczego jest to jeszcze marzeniem? Dlaczego? Niech Tobie odpowiedzą.

Jan Aleksander Król

Dr Stanisław Papierkowski

VELJKO PETROVIĆ

— najwybitniejszy współczesny nowelista serbski

Z chwilą zakończenia wojny światowej literatura Słowian południowych — po latach zmagań i walk o niepodległość i zjednoczenie — stanęła wobec zasadniczego programu: jak ustosunkować się do kwestii nacjonalizmu, który do wojny światowej był zasadniczym i wyłącznym nurtem życia i twórczości literackiej. I, jakkolwiek wojna światowa przyniosła wolność i zjednoczenie, literatura jugosłowiańska nie od razu pozbyła się nacjonalizmu, który w pierwszych latach po wojnie nawet dominuje. Ale już w tych pierwszych latach pojawili się pisarze, zwłaszcza wśród Serbów i Chorwatów, którzy potępili nacjonalizm „wraz z jego tradycją, burżuazją, naturalizmem i impersjonizmem" i poczęli wprowadzać do literatury" „rewolucyjność".

Równocześnie zjawiają się, płynące z Zachodu, prądy nowe na czele z socjalizmem, który po rewolucji rosyjskiej opanował całą Europę. Ekspresionizm i futuryzm wraz z silnym zainteresowaniem się Zachodem opanowują literaturę niepodzielnie. W ślad za tym zjawiskiem niemal co tydzieńń pojawia się jakiś nowy organ literacki, a wkrótce powódź czasopism literackich zalewa kraj, żaden jednak z organów nie potrafił się zdobyć na zdecydowane oblicze. Zrywając z literaturą przedwojenną, młode pokolenie wypowiedziało gorącą i zdecydowaną walkę neoromantyzmowi wraz z jego subtelną nastrojowością, uczuciowością i niuansami w stylu Verlaine'a, wprowadzając na jego miejsce nową wolę artystyczną, operującą elementami prymitywnymi. Wyrazem buntowniczych ustrojów stają się fantasmagorie na wzór Meyrinka, a źródłami tych zjawisk były właśnie: futuryzm i ekspresionizm. Ideałem młodych staje się człowiek kosmiczny, gardzący prawami logiki, nie dbający o prawdy psychologiczne. Zerwanie z logiką i psychologią pociągnęło za sobą dążenie do wielkiej swobody w gramatyce i stylu.

Hasłem pokolenia jest nie program, ale wola twórcza, decydująca o treści i formie. Podeptano i potępiono w czambuł wszelkie autorytety. Proces zmiany kotegorii myślowych odbywał się w tempie gwałtownym, ferment był niesłychanie silny, i — dlatego szybko minął. Burzliwa walka zmieniła się w spokojną dyskusję literacką, na której platformie odbyło się przewartościowanie gatunków literackich: miejsce przedwojennej liryki, pierwszoplanowej w twórczości literackiej, zajęła proza, w niej krótka nowela, bezpośrednia i gwałtowna, pełna autoanalizy człowieka współczesnego — pesymisty, erotomana i dekadenta, a często i nuty patriotycznej, stawiającej bohaterstwo żołnierza serbskiego w czasie wojny światowej. Nie brak w tej noweli współczesnych elementów społecznych i socjologicznych, zjawia się w niej apoteoza ekspresywnego realizmu, występują mocne akcenty rewolucyjne, skierowane przeciw klasie posiadającej w obronie uciskanego proletariatu.

Z licznej grupy prozaików zdolnych i płodnych na szczególną uwagę zasługuje Veljko Petrović.

Veljko Petrović, urodzony w roku 1884 w Samborze, z wykształcenia prawnik i publicysta, zaczął swą twórczość literacką od drobnych poezyj, które były dlań przede wszystkim potrzebą duszy, a nie wypływem talentu poetyckiego. O poezji swojej mawiał Petrović: „te skromne wiersze uważam li tylko za częściowe spełnienie mojego obowiązku narodowego, a nie za dzieło literackie". Skromność to jednak przesadzona: nie są bowiem poezje Petrovića skromnymi wierszykami patriotycznymi, nie są napuszoną i nieszczerą tyradą patriotyczną — są one wyrazem cierpienia poety, który szczerze i z głębi serca współczuje ze swoim zgnębionym narodem. Biją z tych wierszy: sentyment i łza patriotyczna, bezsilna wściekłość i twarde przekleństwo, tęsknota za sprawiedliwością i wolnością i wiara niezłomna w ideały. Dzięki swojej płomiennej poezji stał się Petrović budzicielem i prorokiem narodu, a jego poezja spełniła rolę, jaką grubo przed wojną światową odgrywała poezja patriotyczna Szantića i Harambaszića lub jeszcze wcześniej Palmovića.

Wielkim poetą Petrović nie został — nie liryka i nie poezja patriotyczna postawiły go w szeregu najwybitniejszych współczesnych pisarzy jugosłowiańskich — imię wielkiego pisarza przyniosła mu jego nowela. Zmieniwszy poezję na prozę, zmienił Petrović i charakter swój, jako pisarz: jego poezja i jego nowela różnią się materialnie i formalnie, różnią się zarówno pogądem pisarza na sztukę jak i jego poglądem na świat. O ile w poezji był Petrović fiozoficznie bardziej określonym, a nawet modernistycznym ideologiem nacjonalizmu, nowela jego jest literaturą bojową, w której ścierają się dwa prądy: dualizm uduchowionej erotyki i seksualizmu z dualizmem umiłowania awantury i ładu. Petrović — poeta opracowywał pewną ideę długo i należycie przemyślaną, Petrović — nowelista rzuca ledwie zaobserwowane myśli. W poezji hołdował liryzmowi, w prozie wyznaje sentymentalizm, niezmuszający nas do płaczu, a pesymizmu wyzbył się zupełnie.

Nowela Petrovića jest nawskroś modernistyczna. Kreśli w niej autor współczesne życie średnich i zamożnych warstw społeczeństwa serbskiego przeważnie z tych dzielnic, które przed wojną należały do Węgier. Rzadko spotykamy w jego noweli niesamowite objawy neuropatyczne i pedanterię, widzimy tu natomiast objawy krwi i duszy ludzkiej. A płynie to stąd, że Petrović doskonale zrozumiał modernizm i wiedział, że nie polega on tylko na różnych chorobach etnicznych epoki. Zasadniczą cechą nowel Petrowića są dwa rodzaje sytuacji i katastrof: 1) Społeczeństwo pełne jeszcze idealnych pragnień młodego narodu wykorzenia błędy i słabości, wyrywając równocześnie ludzi z życia; 2) zło jest częścią ludzkiej materii życia i jako takie, nie da się wykorzenić, wobec czego i człowiek nie jest za to zło tak bardzo odpowiedzialny. Drugą wybitną właściwością noweli Petrovića jest jego charakterystyczny sposób przedstawiania kobiety: kobiety jego nie dadzą się podzielić na te czarne, fatalne kobiety literatur europejskich, co to z korzeniami obalają ludzi zdrowych i niewiernych, i na te kobiety „wyczekujące" literatur skandynawskich, które do śmierci nie doczekają się życia. Kobiety Petrovića kochają dla samej miłości i dzięki temu, unikają różnych fantastycznych katastrof.

Nie brak jednak noweli Petrovića dawnej miłej patriotycznej: powstała ona w formie nie skończonego umiłowania ziemi ojczystej. Wytyka pisarz narodowi swojemu wady, niejednokrotnie cały swój sarkazm nań wylewa, ale ziemię swą i ten naród kocha — a zwłaszcza ziemię, z której wyrósł i do której powrócić kiedyś musi. Chcąc Petrovića określić jak najkrócej, możemy powiedzieć o nim to, co powiedział Goethe o Winkelmannie: „Ein Lebendiges für die Lebendigen geschrieben".

W Petroviću tkwi przede wszystkim namiętna potrzeba sytuacji i prawie fetyszowskie pragnienie przypadku. Nie jest to jednak „morceau de nature" w stylu Zoli, ale przypadek powiązany z poprzednimi wydarzeniami, część życia, która utonęła w jego całości, jak ginie kropla wody w nurtach rozłożystej rzeki. — Jako człowiek i Słowianin żywi Petrović szczerą przyjaźń i podziw dla ziemi i narodu polskiego. Dał temu wyraz w swoim głęboko ujętym przemówieniu, kiedy to w maju 1931 r. składał w imieniu Jugosłowian przybyłych na I-szy Kongres Ligi Polsko-Jugosłowiańskiej wieniec na grobie Mickiewicza w podziemiach Wawelu: „Niechaj ten wieniec — powiedział wówczas Veljko Petrović — będzie symbolem przyjaźni i hołdu narodu jugosłowiańskiego dla bohaterskiego, bratniego narodu Polaków i ich nieśmiertelnego Wieszcza".

Veljko Petrović

ZIEMIA

Przełożył St. Papierkowski

ROKU 1918 na wiosnę, z Francji, przez Włochy na Korfu. To jest: za czterdzieści godzin, z paryskiej wiosny w rzymskie lato i na Kalabryjskie upały. Te nasze dziwne podróże! Nikt już nie potrafi ich opisać.

Kłamliwe i skąpe są nawet dzienniki tych nielicznych próżnych Serbów. Kto się bowiem nie wstydził zapisywać z pełnią wagi drobnych, osobistych przeżyć, wówczas, kiedy całe narody były tylko małymi klinami jednej olbrzymiej, zdyszanej, demonicznej maszyny! Ale i tych kilku, — kiedy się trudzili, by z rycerską szczerością notować wszystko, niewielu odbiegło od pustego wyliczania stacyj, od nic nie znaczących osobistych, codziennych lub ogólnych wydarzeń i kłopotów politycznych. A to, co wrzało, co się przytajone kotłowało w naszych duszach, to cośmy zgłuszyli swoimi zewnętrznymi zamiarami, zadaniami i widocznymi bólami, to, co sprawiało, żeśmy szczególną uwagę zwracali na obce ziemie, obcych ludzi, których dzisiaj już byśmy w ogóle nie poznali, to się wymykało, gdziekolwiekbyśmy tylko przybyli, do swoich tymczasowych przegródek. Toteż nasi ludzie unikali się nawzajem w czasie tych wojennych, uciekinierskich poruszeń, jakkolwiek Serbowie odczują się w największym tłoku na placu Milańskiej katedry. Albo też, zbliżywszy się jeden do drugiego, chętniej rozmawiali o plotkach uciekinierskich, niźli o tym tragicznie ponurym nastroju, który tkwił w nich, jak osad z ołowiu.

Po kwiecistej i pełnej owoców Lombardii, która swymi pełnymi winogron girlandami, od drzewa do drzewa, wiecznie sławi swoje wesele Dionizyjskie, i słonecznej „kampanii", gdzie nawet pokorny Nazarejczyk otrzymał swoją togę Apollina i diadem cesarski zamiast zardzewiałego od krwi wieńca cierniowego, weszliśmy na oślepiająco białe, lśniące się blaskiem słonecznym, zapalone Południe. Nawet tych kilka skurczonych fig, cytryn i palm pokrytych było mączką tego wszechpotężnego, rozpieczonego białego kamienia. Zbiedniały konik na szosie ginie w białym obłoku, a czarna rewerenda księdza na dwukołowym wózku podobna jest do białego burnusa szeika marokańskiego. Afryka, islamska i nestoriańska. Jeśli w tych świątyniach panuje renesansowy Chrystus, będzie to jeden z wielu paradoksów historycznych. To jest Ojczyzna Grekowej historii albo ortodoksyjnego, nachmurzonego Pantokratora.

W pociągu oddycha się ciężko, pot zlewa ciało, ludzie wycierają się i rozbierają do koszuli. Tylko dwie zakonnice w ciężkich, błękitnych habitach, przepasane żelazem, w sandałkach podkutych, czytają nieruchomo z modlitewników. Nawet dłonią nie sięgną do czoła. Z nosa im kapie, a one cierpią, tylko usta ich, chociaż cicho, coraz prędzej pracują. Czy one pokutują teraz i za nasze grzeszne, serbskie myśli?

W lecie wszyscy pędzą na piwo, wino i pomarańcze. Tylko one zostają. W tym zgiełku przywidują się jakieś szerokie plecy. Szczególnie ściągnięte, szczególnie zwinięta szyja, szczególny nacisk na bok, prawym, wyższym ramieniem. I kapelusz spuszczony szczególnie na tył głowy. Minęliśmy się szczęśliwie.

Ale w Galipolu, na okrzyk: — Serbowie tutaj! — pobiegło nas trzech wprost na starego portiera z beogradzkiej „Moskwy". Oficerska czapka, z oznakami urzędnika, uśmiecha się po bratersku i wita. Między nami jest i ten plecaty, i jeden poseł na sejm, którego delegat oczekuje specjalnie w swoim domu, podczas gdy nas odprowadzi portier do jakiegoś mieszkania. Nawet nas nie pyta, czy chcemy mieszkać razem. A, Bóg wie, na jak długo został nam przeznaczony wspólny nocleg, ponieważ okręt, to wiem, nie przychodzi regularnie.

Pan poseł znalazłszy się wśród trzech Serbów, począł się całkiem widocznie wyprostowywać. Nie przedstawiając się kroczył majestatycznie i, ustawiając się w środku, rozpytywał łaskawie, cośmy za jedni i dlaczego jedziemy na Korfu? My byliśmy tutaj jak jego lud, kulami. Ten trzeci szedł trochę zdala, jakieś pół kroku za nami, jakoś cicho i niewidocznie. Nie wiem, czy na słowa posła w ogóle odpowiedział a myśmy usłyszeli tylko jego pytanie:

— A, proszę panów, czy przynajmniej jutro będzie okręt w stronę Korfu.

Zaskoczył mię śremski akcent. Popatrz, rodzime, fruszkogórskie dźwięki. W czasie, kiedy portier wyjaśniał, że tego nie można nigdy z góry wiedzieć, i że niekiedy musi się tutaj czekać po piętnaście dni, obserwowałem rodaka. Gdyśmy się zatrzymali, zdjął kapelusz stojący mu na wierzchu głowy i, niedbale wycierając go wewnątrz i dokoła chusteczką, słuchał tak pilnie, że jego małe, wpadnięte, czarne oczy wyszły mu prawie z powiek. Był to człowiek średniego, przysadkowego wzrostu, robiący wrażenie kompleksu ciała na nierównomiernie cienkich nogach; głowę miał bardzo wielką, zupełnie okrągłą, mięsistą i całą obrośniętą obfitymi, ostro, wszędzie jednakowo podciętymi włosami. Lecz najbardziej wpadała w oczy biel cieniutkiej skóry na twarzy, która nawet tutaj nie mogłaby się opalić; małe jakby woskowe wąsy, takież cienkie i regularne brwi, miękki nos, jakby wgięty w pełnię policzków i okrągła broda, wciśnięta w podbródek i chwiejąca się niezgrabna krawatka pod blaszaną spinką wskazywała na chłopa wychowanego w bogatej „sermii", który nawet na wygnaniu utrzymał swoje sadło, gospodarując bodaj w myślach na swoich niwach i winnicach.

— Kiedy się znowu zjawili, jak to wiecie...

— Toż ja o to pytam! — przerwał Śremczyk niecierpliwie i podszedł bliżej badając nas wszystkich trzech oczyma — przed czterema dniami, we środę w nocy, prawda? storpedowali jeden okręt, na którym byli nasi jednoroczniacy... Wiecie i mój syn, nie daj Boże, był z nimi, więc czy wiecie coś o nich, czy ocalili się i kto z nich... wybaczcie, ale wiecie...

Zamroczyło nas wszystkich trzech naraz, tylko portier, bąkając coś, podjął szybko:

— Tak, tak, niestety, mamy wiadomości, ale nie wiemy jeszcze, czy się wszyscy ocalili... Możliwe, że już gdzieś wylądowali, mają łódki i tratwy, ale nie ma jeszcze wiadomości. Zaraz zapytamy pana delegata.

Sremczyk objaśnił nam w drodze, że jego syn wstąpił do ochotników ubiegłego roku, ponieważ oni obydwaj uciekli z naszym wojskiem, kiedy ono cofnęło się z Dobanowców (a więc on jest z równego Sremu, a nie Fruszkogórzec). Obecnie zwolnili go z wojska, i wysłali do Francji na studia. Tak mu pisał: że oczekuje go w Marsylii w tych dniach, a kiedy przedwczoraj w Nicei przeczytał telegram o storpedowaniu naszego Korfujskiego okrętu ze studentami, przeraził się zaraz najgorszego. Depeszował na Korfu, ale nie mogąc doczekać się odpowiedzi, wyruszył, by osobiście zobaczyć, co się dzieje z jego synem. Daj Boże, żeby się tylko minęli, gdyż nie ma nic łatwiejszego, jak wrócić! Ale, jakże czarne jest jego szczęście od początku tej wojny!

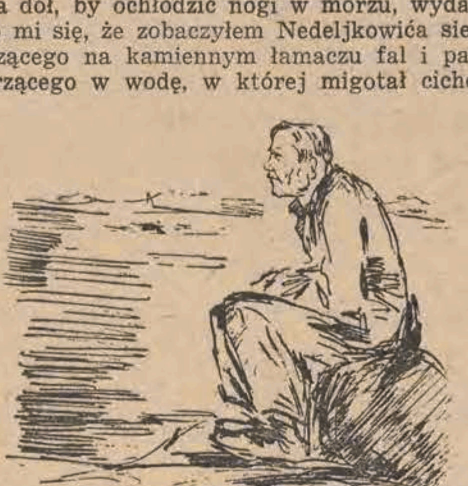
Przerażony ojciec opowiadał wszystko to powoli i półgłosem, tak, że tylko od czasu do czasu mógł w środku słowa odetchnąć, jakgdyby dławił westchnienie, czy też jęk. Zapytaliśmy go zaraz o nazwisko. Jak gdyby nam to mogło pomóc w szukaniu. Sawa Nedeljkowić, rzekł, rolnik osiadły, a syn jego nazywa się, lub się też, nie daj Boże, nazywał, Milosz, abiturient gimnazjum w Karłowcu.

Ale i delegat nie umiał powiedzieć niczego więcej, oprócz tego, że na okręcie znajdowało się istotnie czternastu studentów. Czy znajdują się jeszcze na Korfu tacy, którzy oczekują na to, by wyjechać następnym okrętem i tacy, którzy już są w drodze, on nie wie. Ale jeszcze dzisiaj wieczorem wyszle depeszę do rządu i poprosi o dokładne sprawozdanie, a specjalnie zapyta się o Miłosza.

Kiedyśmy zobaczyli swój pokój znajdujący się niedaleko od mieszkania delegata, w jakiejś bocznej ciasnej uliczce, którą przewiewało powietrze morskie i z którego widać było w bezpośrednim pobliżu bezbrzeżną linię modro-zielonej toni, jak gdybyś z jakiejś zbudowanej z kamienia wieży patrzał na wiecznie żywy las i chmury — Sremczyk pożegnał się ze mną.

— Proszę iść tylko, panie, do miasta. Ja nie jestem jakoś ni do ludzi, ni do kolacji. Pójdę trochę nad morze, przejdę się, i położę się spać, a pan niech idzie; nic nie szkodzi jeśli mię pan zastanie śpiącego, twardy mam sen.

Po kolacji zeszliśmy się grupkami, na wybrzeżu. W czasie kiedy niektórzy zeszli na dół, by ochłodzić nogi w morzu, wydało mi się, że zobaczyłem Nedeljkowića siedzącego na kamiennym łamaczu fal i patrzącego w wodę, w której migotał cicho



rys. Tadeusz Zarzycki

księżyc. Potem wstąpiliśmy na jedną jeszcze kawę „espresso" i na miejscowe, domowe rozmówki, po czym, każdy z nas, macając przed sobą w ciemności, ruszył do swego mieszkania.

Zapaliwszy świecę zauważyłem, że Nedeljkowić leży odwrócony twarzą do ściany, ale że jeszcze nie śpi. Udaje, że śpi, biedny człowiek; to też i ja postanowiłem się cicho rozebrać. Naraz on głęboko i boleśnie westchnął. Drgnąłem, odwróciłem się w jego stronę. A on usiadł i popatrzył na mnie swoimi całkiem wyraźnie zapłakanymi, krwawymi oczyma.

— Straciłem go, zobaczy pan... A gdzie, gdzie?... Widział pan jaka to potęga, nigdzie nie ma jej końca ni dna...

— Niech pan nie rozpacza już teraz, panie Nedeljkowić! Kto wie? Proszę poczekać, proszę wierzyć w Boga, w szczęśliwy przypadek. Nie pierwszym byłby z tych, co ocaleli. Ja sam widziałem niedawno w Rzymie pewnego naszego majora, którego po trzykroć storpedowano, i to dwa razy w drodze z Bizerty, a jednak za każdym razem ocalił się szczęśliwie na tratwie.

— Daj Boże, panie!... Ale wie pan, tu czuję próżnię — i uderzył się w piersi — myślę ciągle o czymś najgorszym, że już nigdy nawet nie usłyszę o nim. Kiedy morze połknie, ono wszystko pożre i ciało i kości człowieka, a pewnie i duszę człowieka zatrzyma w sobie do dnia sądu ostatecznego. O, straszne moje nieszczęście! Cóż powiem jego matce, jeśli żyć będzie, co jej grobowi, jeśli umrze!...

...Proszę wybaczyć, panie, pan pewnie zmęczony, a ja panu nie daję spać... przepraszam, bardzo przepraszam, ale proszę mnie posłuchać, jako uczony Serb, mnie nieszczęsnego ojca i rolnika, prostego chłopa... Straszna to jest kara od Boga, kiedy duszę ochrzczoną tak oto, na falach morskich zaskoczy śmierć, bez śladu i głosu, bez krzyża i ludzkiego grobu!... Jeśli mu już, dziecku mojemu dobremu, taki los był przeznaczony, by go morze pochłonęło, to niechby bodaj trupa wróciło matce ziemi, niechby go wyrzuciło gdzieś, jak to bywa, na suche miejsce... Znajdą chyba jego kości jacyś ochrzczeni ludzie i pogrzebią go... żeby mi się we śnie ukazał i pocieszył swego ojca w jego strasznym smutku... Ale tak, żeby nas tak Bóg ukarał, by go pochłonęła ta otchłań, by go ryby i morskie rozniosły zwierzęta...

— Proszę się nie męczyć, panie Nedeljkowić, takimi jeszcze nonsensami!... Proszę prosić Boga, by go panu wrócił żywego i zdrowego... a, a, kiedy się już umrze, to wszystko jedno, można powiedzieć, gdzie i co się stanie w naszymi ciałami...

— Niech pan tak nie mówi, panie! — zerwał się Nedeljkowić z łóżka i, chwyciwszy mię za rękę, dziękując, mówił dalej — pan jest młody... proszę poczekać, kiedy pan wróci do swego narodu i z narodem jakiś czas pożyje... pan się trochę oddalił od narodu i od ziemi; kiedy pan wróci i zobaczy jak to wszystko, co się rodzi na ziemi, do ziemi się musi także wrócić. I rosa, i siemię, i bydło, i człowiek. To jest prawo Boże. Nie ma życia na ziemi bez umarłych w ziemi. Dusza nie znajdzie ni miejsca, ni spokoju w niebie, póki ciało nie wróci do tego, do kogo należało. Jam prosty człowiek, ale na ziemi żyję, więc wiem. To prawo Boże. Wszyscy winni jesteśmy ziemi nasze ciała, toteż musimy je zwrócić, gdy je dusza opuści... Gdybyśmy się nie trzymali tego prawa, gdzież byłyby zbiory, gdzie cały postęp, cała męka ludzka i cała rozkosz... To nie może być wolą Boską, żeby mój syn zginął w tej otchłani, tylko to Bóg ustąpił woli diabła; a któż to z nas zawinił, by moje dziecko było nagrodą dla przewrotności, i ileż trzeba będzie jeszcze, by się nasza krew lała, by to odpokutować, by jego dusza znalazła spokój?... przepraszam, panie... nie będę już pana niepokoił.

Byłem całkiem bezsilny i, czując cały nonsens moich słów, powtarzałem tylko, że powinien mieć nadzieję i że spokój duszy nie zależy od tego, czy człowieka pochowano w ziemi, czy opuszczono w morze, jak to się zresztą robi z marynarzami i na tylu małych wysepkach. Wiedziałem, że on mnie nie zrozumie.

Długo nie zasnąłem, a Nedeljkowić, z natury rzeczy, w ogóle nie zmrużył oczu. Blady i wychudły poszedł wczesnym rankiem do naszej delegacji, chcąc się dowiedzieć czy przyszło jakie zawiadomienie.

Zaledwie usiadłem do śniadania, przybiegł „portier" i wezwał mię do delegacji. Na rynku spotkał mię delegat w towarzystwie posła. Obydwaj byli bardzo zmieszani i powiedzieli, że trzeba pośpieszyć do prefektury, zanim nadejdzie Nedeljkowić, ponieważ musimy się wcześniej porozumieć, jak mu mamy zakomunikować następującą wiadomość:

Właśnie w tej chwili przyszła do prefektury wiadomość, że rybacy galipolscy natknęli się dziś wczesnym rankiem na jakąś tratwę z czterema naszymi żołnierzami. Jak tylko słońce wyskoczyło z wody, ujrzeli ich niedaleko swojej barki i doskonale widzieli jak czterech ludzi trzyma się kurczowo tratwy, stojąc po piersi w wodzie. Zdziwili się, kiedy na ich okrzyki tamci nie odpowiadali i nie dawali żadnych znaków. Zbliżywszy się do nich, dopiero wówczas spostrzegli, że wszyscy czterej są sztywni, martwi. Musieli poobcinać liny, których się martwi kurczowo trzymali, żeby ich odłączyć od tratwy i złożyć na swojej barce. Zlodowacieli, z otwartymi ustami i oczyma jak gdyby błyszczącymi śmiechem, całkiem młodzi żołnierze leżą właśnie tam, w prefekturze; prefekt prosił delegata o wybaczenie tego, że rybacy przetrzęśli ich kieszenie. Znaleziono ich legitymacje, a prefektowi udało się odczytać. Między nimi znajduje się również Miłosz Nedeljkowić. Delegat i poseł zapytują mię nerwowo: czy podejmę się sprowadzenia tutaj do prefektury Nedeljkowicia. On będzie na wybrzeżu, w pobliżu kwatery, jeśli mu dotychczas nikt nie doniósł o dzisiejszym porannym wypadku.

Funkcja nie była miła, ale musiałem się jej podjąć. Wzmocniła mię rozmowa z nim dzisiejszej nocy, to muszę przyznać.

Poznał po mnie, że mu przynoszę coś ciężkiego:

— Co się stało, panie: — a lewe jego oko drży ze strachu.

Tak i tak, wzywają go do prefektury, i, pędząc ku słońcu, powiedziałem mu całą prawdę. Nie mówiąc nic, potykając się, biegł i odddychał jak astmatyk.

Na progu przed drzwiami jednej sali, znaleźliśmy wszystkich, około pięć — sześć osób, włoskich urzędników wraz z dwoma naszymi. Nedeljkowić miał na tyle siły, że przywitał się i uścisnął rękę prefekta.

Na dwu stołach, jeden przy drugim, leżeli nasi nieszczęśni, piękni młodzieńcy, trochę rozkraczeni, z rękoma zgiętymi ponad głową, z bolesnym uśmiechem na posiniałych twarzach. Z płaszczy kapały jeszcze od czasu do czasu krople wody. Nedeljkowić zbliżył się od razu i złamany stanął na moment, po czym głucho, cicho jęknął i objął rękoma jedną głowę, całując ją w czoło.



rys. Tadeusz Zarzycki

— Dziecko moje... synu... Tak to miał cię znaleźć twój ojciec! — mówił cicho i przytomnie, raz jeszcze przeżegnał się, i, trzęsąc się widocznie, cofnął się poza innych:

— Proszę panowie!

Po ukończeniu formalności, Nedeljkowić poprosił, by jemu powierzono wszystkie czynności, związane z urządzeniem i czuwaniem w kaplicy cmentarnej, aż do pogrzebu. Ponieważ nie było księdza prawosławnego, obrzędowego dokonał ksiądz katolicki, a obecni Serbowie odśpiewali tylko „Świati Boże". Nedeljkowić trzymał się mocno, i dopiero kiedy spuszczono ich do grobu, wykutego w wapiennej skale, załkał a wszyscy obecni odczuli, że to jest błogosławieństwo Boże i ulga dla niego.

— Synu mój, skoro już Bóg nie dał, bym cię uściskał żywego, dzięki Mu i za to, że cię twój ojciec znalazł martwego...

W drodze powrotnej wszyscy Serbowie odnosili się do niego tak, jakby on był ojcem wszystkich czterech topielców. Ale jego nie potrzeba już było ani podpierać, ani pocieszać. Jakkolwiek co chwilę ocierał jakąś samotną, dużą łzę, mówił zupełnie przytomnie i spokojnie do nas wszystkich.

— Czy ci ludzie tutejsi nie mają tu nigdzie kawałka żółtej ziemi, lub bodaj trochę piasku, dla swoich umarłych? Trzymają ich w kamiennych skrzyniach nad ziemią, żeby się prażyli na tych upałach, Boże przebacz! To też i czuć ten ich cmentarz, czuliście panowie? Grzech nawet powiedzieć, ale śmierdzi ze wszystkich stron. E, synu mój słodki, niech się tylko twój ojciec wróci żywy, nawet brud spod paznokci wyda, byleby tylko ciebie zabrał do twojej pięknej ziemi...

Zygmunt Sierp

W I E R S Z E



Czas nagły

Słoneczniki pijące słońce tarczami
mają tylko zieleń wiosny i lata,
ale pelargonie ziewają kwiatami
w późną jesień poprzez okien kratę.
Ten zegar w izbie kołysze czas
wplątany w krzyże śmigieł,
skąd śmierć wyjąca padła na siostry twarz —
oto nad niedopitą filiżanką
matki smutek żałobny —
nad skrzyneczką z deszczułek —
trumienką
uniósł się piasek mogiłą,
płaszczyste czasu wieko.

*

W cieniu mej pamięci odpoczywasz
smugą czasu przeszyty na wylot —
przed szkieletem, co nasyca wieczność
miłosne dziewczyny dłonie się chylą —
drzewa w alei stoją na baczność,
czas we mnie się wżera sierocym chlebem,
tak nagle wrosłeś bohaterem w darnie
bez wieści wspinającej się niebem —
w dalekich cieniach zieleń się krzewi,
w wysokich krzyżach pod czasem zmurszał Chrystus,
dzisiaj już nie wiem, który to wieczór
odgrodził kulą twój dzień od nocy,
lecz wiem, że serca lęk ci nie wytrząsł

*

W tych wierszach nie odpocznie rozpacz
biała jak kości i jak łkanie gorzkawa,
pod zachód słońca, co ma czas dobroduszny,
może cię znajdę przyjacielu gdzieś w piaskach
przez wiatry odkryty i wiatrom posłuszny,
— — — — — — — — — — — — —
którym czas nagły chyżości przydawa.

Będą chrzciny

Jadą od chrztu, śpiewają
a śpiewają na wozie,
że chłopak na psa urok
okrągluśki nieboże.

Jurne panny zazdroszczą,
pierś stanikiem krępują,
bujne piersi matuli
chłopca tulą i poją.

Może im też obejmie
kibić słodkie spojrzenie,
Staśków chłopak tańcuje -
mówią, że się ożeni.

Siedzą kumy pod ścianą,
szczęście w śpiew się wydłuża,
piwem chlusta do szklanek,
w bezpamięci zanurza.

Kto nie może pić wódki,
kto ma oczy kochane —
niech umyka ukradkiem —
łóżka stoją posłane.

Wieczór chrzci się miłością
miłość rośnie jak zaczyn,
na wysmukłych osikach
rankiem pąki zobaczysz.

Niepokój poety

Zanurzony w chrzcielnicy słowa
fanatyk wiary w alfabet
uczyłem się komend poezji —
przyboczny księżyca kadet.

Dziś jakim nazwać cię słowem
trwożliwie przywarłym do gardła —
dziecięcą odwagę metafor
rdza spojrzeń rymami przeżarła.

W którym odnaleźć cię dźwięku
zgubionym gdzieś w strofach — na dnie
w pielgrzymstwie słów nie nadeszłych
może swe usta odnajdę.

Jakim wprowadzić cię wierszem
na globus porżnięty nazwami
byś płynął Nilem spod słońca
szarpiący trzewiami piramid.

Nie wiem czy spadniesz mi jabłkiem —
w soczystą kulistość się przemień
w smak życia zawarty w balladzie
w lirycznych biczowań rzemień.

Rozmowa z nim

Jesteśmy dwaj przyjaciele: ja i ty —
jak ojciec i syn —
na biegunach kołyski jeszcze ślad tych dni,
co mają nadzieję naszych godzin,
wiszących bladą tarczą na ssącym poranku rosę
i goniących południe, w którym słońce tonie,
zanim spowolnieje by w wieczorze brodzić
i najsmętniejszym odchodzić zakosem.

Jesteśmy dwaj przyjaciele: ja i ty —
jak żołnierz i karabin —
za nami twarz matki każąca nam iść
i w ciemnych nieboskłonach zanurzyć się po zemstę,
skąd się wraca do domu papierową pamiątką,
albo elegijnym urasta się wierszem.

Jesteśmy dwaj przyjaciele: ja i ty —
weź gasnące pragnienie mych dłoni
i podrzuć je żarem starogermańskim pniom,
niech ich cienie płomieniem się zwalą,
niech cwałują grzywami obłąkanych koni
po ziemi przeklętej zszatanioną chwałą —
wtedy mnie nie będzie — ale będziesz ty.

Obrazki podmiejskie

I.

U przedmieść Warszawy, gdzie główne autostrady,
boczne bez chodników uliczki ku wsiom wiodą,
spotkasz emerytów śpieszących się do sadów
po kilogram jabłek, by przystroić komodę.

Niedziela im ścieżką pachnącą się układa —
podpierani laską w staromodnym żakiecie
przewietrzają nudę kłaniając się znajomym
zanim siądą w trawie na starej gazecie.

II.

Pierwszy raz się zdziwisz widząc wiejskie kobiety
wynoszące z miasta kwiatuszki bibułkowe
i gipsowe figurki o twarzach woskowych —
najczęściej to Madonna i Antoni Święty.
— — — — — — — — — — — — —
Ich twarze też żółte, woskiem nędzy ściemnione,
śpieszą bosym rzędem, niosąc słodkie pieczywo,
które świt odsłania, zaglądając w kobiałki,
nim rączki w nie wpełzną dzieci nieurodziwych.

III.

Czwartek końskim targiem wjeżdża na plac grochowski —
tu ojca frasunek szkapiną się rozmarzył —
trzymałem postronek, gdy ręką przybijali
chudą, końską zgodę ochrypli gospodarze.
— — — — — — — — — — — — —
Gdy dziś synu widzisz wlokące się furmanki,
wywożące z miasta wieśniaków senne głowy,
nie śpiewaj tym domom, co śpią jeszcze o ósmej,
by pić pod południe mleko prosto od krowy.

Wiersz nieelegijny

Tęsknota twoja za mną goni,
trzepocze się jak ptak na wietrze,
patrzy przez szybę zakurzoną
do biura skarg na czwartym piętrze.

Wiem, że mnie mija łąki zieleń —
starość mi będzie jak adwokat,
gdy przyjdziesz śladem nieodkrytym,
podam ci z trumny rzewny brokat.

Lepiej się w ciszę przemień chłodną,
kryształem skargi nie budź nocy
i odejdź śmiechem, który znałem —
z nim ja odlatam — tobie obcy.

Folwark

Od tej strony
szczyt dorasta do wiechy topól —
cieniem namaszczony
lice ukrył w lipowy baldachim
i niucha sumiastą fraszkę —
drogocenny popiół,
za nim chłopy i wałachy
niosą w znużonych ślepiach
piekące pręgi
wprzęgniętego słońca w ich dzień —
i dzieci, dzieci bez końca
bałykujące przez sień,
które się nocą uczepioną u strzechy,
gdy cień posłania okraczy,
nie upominały o świat
folwarczny —
głuchy jak pień.

Stefan Baścik

Warunki materialne studiów akademickiej młodzieży chłopskiej (II)*)

Zaletą mieszkań w domach akademickich było to, że były one tanie, pod względem higienicznym na ogół wystarczające. Kuchnie gazowe ułatwiały w znacznym stopniu życie akademika. Ujemną stroną było to, że były one na ogół ciasne i że ze względu na stosunkowo duży ruch w budynkach oraz częste, czasem zbyt częste odwiedziny kolegów „z zaściany" utrudniały pracę naukową. Mimo to jednak uzyskanie mieszkania w domu akademickim należy określić jako pozytywne załatwienie sprawy mieszkaniowej.

Nie wszystkim się to jednak udawało. Pewien odsetek młodzieży zmuszony był zamieszkiwać prywatnie — „na mieście". Mieszkania te — rzecz jasna — nie były komfortowe, przeciwnie daleko im było przeważnie nie tylko do komfortu lecz niejednokrotnie do higieny — ponure, ciemne, wilgotne, ciasne, gdzieś na wyższych piętrach — na poddaszu, lub w suterenach, w oficynie, przeważnie bez łazienki, czasem bez obsługi, oświetlenie czasem jeszcze naftowe. Brak zwłaszcza kuchenki gazowej utrudniał życie akademika, który przeważnie sam przygotowuje sobie śniadania i kolacje, a niejednokrotnie i „obiady".

Oto obrazek takiego mieszkania, wzięty z dzienniczka jednego studenta ze wsi, narysowany nawet z humorem, jednak przesiąkłym ironią i tragizmem niezamożnej młodzieży, duszącej się w ciężkich warunkach życia akademickiego:

„Byłem wczoraj u koleżanki H. Mieszka razem z jedną koleżanką. Śliczne mają mieszkanie. Podłoga froterowana, czyściutka, miękkie stołki, otomana, stolik o kształcie elipsy, na ścianach piękne obrazy... W jednym rogu piękny odlew z brązu — statua jakiejś bogini greckiej (tak mi się zdawało), w drugim duże lustro i co przede wszystkim mnie uderzyło i zachwyciło, to moc kwiatów doniczkowych i to nie takich sobie byle jakich...

Prawem kontrastu przyszło mi na myśl zaraz moje mieszkanie. Niskie, ponure i ciasne. Okno co prawda dosyć duże — weneckie, ale zakratowane, bo to niski parter, więc „strzeż się złodziei". Krata co prawda dosyć gustownie zrobiona, ale zawsze krata — przypomina więzienie. Podłogi nie można „uwolnić od wiecznego kurzu", który nie daje się wymieść. Zresztą mamy sobie sami zamiatać — a czy to akademik ma czas i chęci i „zdolności" do zamiatania? Niby się to zamiata, ale skutków nie widać. O froterowaniu szkoda mówić, trzeba mieć na to forsę i w dodatku trzeba potem stale ją konserwować. Na to też nie ma czasu i forsy. Nieszczęśliwa forsa... Sprzęt: np. długi na jakieś 1,70 m. stół, nakryty papierem szarym przypomina stanowczo jakąś poczekalnię na dworcu P.K.P. lub podrzędną karczmę. Stołki są tylko dwa, a mieszka nas trzech, a więc trochę za mało. Ale co robić? Jeden stołek rozkręcił się zupełnie i poszedł za to ogniu na „pożarcie". Pozostałe jednak nie mniej rozkręcone, reprezentują niezgorzej rodzinę stołków. Stanowią piękny komplet. Jeden zdaje się kupiony za 1.— zł., składany. Drugi w stylu trochę renesansowym (nie znam się bardzo na sztuce, a może i sam stołek nie wiele ma wspólnego ze sztuką), pościągany ze wszystkich stron drutami — trzeba wspierać biednych, bo nuż odmówią posłuszeństwa. Jest on własnością (przez zasiedzenie) jednego współlokatora, który strzeże go jak oka w głowie. Chwała Bogu, że mam bardzo lekkie łóżko, to bez najmniejszej trudności mogę sobie sporządzić miękki fotel przy poczekalnianym stole. Pcha się biedę jak się może. Chwała Bogu, mało przebywam w domu, to nawet nie odczuwa się braku tak niezbędnego sprzętu w XX w., jakim jest stołek... Co mamy stylowego i to naprawdę stylowego, to olbrzymią, gdańską (sic!) szafę z XVI w. — to już bez wątpliwości. Antyk, bo antyk, ale największa ozdoba naszego „salonu". Bardzo jest przy tym pakowna. Ma jednak dużą wadę, bo zdradza skłonności do obdzielania ubrań pleśnią...

Należałoby jeszcze wspomnieć naszą szafkę na naczynia — ot zwyczajnie zbite deski w formie półek. Przed pyłem chronimy naczynia w ten sposób, że zrobiliśmy sobie „firanki" z pakunkowego papieru, który został ; paczek żywnościowych, którymi nas czasem rodzina obdarza. Niestety poczta postępuje z paczkami niezbyt ostrożnie, tak że papier jest nadwyrężony i wnet rozlatuje się w strzępy. Ot np. patrzę na taką „firankę": obstrzępione to z dołu, że pożal się Boże, w jednym miejscu widać pół garnka (może nawet nie wymytego, bo milsze spanie, niż mycie), w drugim miejscu pokazuje się garnek w całej swej okazałości, obok niego rozsiadł się rondelek i t. d.

Najładniejsze to u nas są chyba ściany — przeważnie puste. Wyrwałem kiedyś z kalendarza dwie kolorowe ryciny, nie najgorsze, ale bardzo daleko im od doskonałości, „wyciągnąłem" od jednego kolegi z historii sztuki jego własny rysunek akwarelowy — owszem niezły, dodałem do tego fotografię Zarządu organizacji naukowej, w której pracowałem i zaniosłem to wszystko do znajomego stolarza, który zrobił mi do nich ramki i z wielką satysfakcją powiesiłem to na gołe ściany i jakoś zaraz inaczej wygląda... Poza tym jeden współlokator powiesił „święte obrazy" — wyrwane skądś ryciny bez najmniejszej wartości...

Łóżka żelazne, ale siatkowe, więc swymi zaletami nadrabiają wygląd. Moje co prawda nie jest dopasowane do jednego stylu, gdyż tymczasowo wypożyczyłem skądinąd, bo tu już brakło... Łóżka zwykle źle zaścielone, bo też na to nie ma czasu. Poza tym trochę jest w tym niedbalstwa i niechlujstwa szczególnie jednego współlokatora, co do którego nie zauważyłem, aby kiedyś zruszał słomę lub przewietrzył pościel..." (P. S. 24.2. 1938).

Na tym nie koniec. Nie uzyskawszy mieszkania w domach akademickich, względnie straciwszy je z powodu zaległości w opłacie za mieszkanie i nie mając funduszów na mieszkanie prywatne, młodzież chłopska zmuszona była nieraz wracać do domu, co często było równoznaczne z przerwaniem studiów, względnie ze znacznym ich opóźnieniem. Pół biedy było z prawnikami, którzy nie musieli regularnie uczęszczać na wykłady, czy seminaria. Oni też często mieszkają na prowincji, przyjeżdżając do Krakowa na krótszy lub dłuższy czas, zależnie od możliwości.

Smutną konsekwencją niskiego budżetu akademika ze wsi był zły stan odżywiania się. Nie dojadała nie tylko wieś, nie dojadali również jej synowie na studiach.

O stanie odżywiania się młodzieży chłopskiej w szkole średniej, mówiliśmy już przy innej sposobności. Tutaj chciałbym trochę miejsca poświęcić warunkom odżywiania się tej młodzieży na uniwersytecie. Przeważnie młodzież ta spożywała posiłki trzy razy w ciągu dnia. Śniadanie składało się w większości wypadków z mleka, w które zaopatruje się młodzież mieszkającą w domach akademickich, w sklepach tychże domów. Następnie u znacznej części młodzieży składało się ono z herbaty i chleba — czasem z masłem.

Kolację stanowiła przeważnie herbata i chleb, niekiedy z masłem. Niektórzy spożywają kawę, wyjątkowo mleko. Czasem do herbaty niektórzy spożywają mięso.

Dane z ankiety:

chleb — herbata	15 osób
chleb z masłem — herbata	6 osób
chleb — kawa	2 osoby
chleb — mleko	1 osoba
chleb — herbata — mięso	5 osób (z tego 2 czasowo)
rozmaicie	1 osoba
	30 osób

Zarówno śniadania jak i kolacje sporządza sobie młodzież akademicka na stopniu zamożności młodzieży chłopskiej sama.

Trudniej przedstawiała się sprawa z obiadami, które trzeba było zasadniczo kupować w jadłodajni i tu młodzież chłopska łamała bardzo często kardynalne zasady biologiczne, zastępując nieraz obiady herbatą z „czymś" — jak kiełbasa, jajecznica i t. p. przeważnie z paczek żywnościowych od rodziny, lub zadawalając się np. tylko pierwszym daniem — zupą, względnie drugim — ziemniakami z jarzyną z mięsem lub bez, względnie jakąś potrawą mączną, albo wreszcie ograniczając się przez całe nieraz miesiące przeważnie do t. zw. „jarskich" obiadów — bez mięsa.

Ci co jadali normalne obiady, jadali je rzecz jasna w jadłodajniach jak najtańszych. Należały tu więc kuchni. domów akademickich, a szczególnie kuchnia Bratniej Pomocy Studentów U. J. (cena obiadu „jarskiego" 45 gr — w abonamencie 40 gr., cena obiadu „mięsnego" 75 gr. — w abonamencie 70 gr.

Czasem młodzież chłopska szukała jeszcze tańszych jadłodajni i trafiała do t. zw. „tanich kuchni" na mieście, względnie do tańszych restauracyj.

Najuboższa wreszcie młodzież — przeważnie protegowana przez sfery duchowne — znajdowała pożywienie w kuchniach bezpłatnych, jak np. kuchnia Siostry Samueli.

Cena obiadów u odpowiadających na ankietę waha się od 35 do 75 gr.

bezpłatnie	2 osoby
15 gr. (zupa)	1 „
35 gr	2 „
40 — 45 gr.	6 „
45 — 75 gr.	5 „
75 gr.	7 „
służbowy	1 „
nie podało	6 „

Przy tym sposobie odżywiania, koszta odżywiania u młodzieży chłopskiej były bardzo niskie i nie przekraczały na ogół 35 zł. miesięcznie, chyba, że jakieś lepiej płatne zajęcie pozwoliło jej na przekroczenie tej granicy.

A oto wypowiedzi świadczące o tragicznym nieraz położeniu tej młodzieży, wypadki raczej skrajne:

„obiady jadłem tylko w r. 1936-37. W inne lata czasem najtańsze na mieście" — pisze w ankiecie starszy student. Podaje też on dalej: „na śniadanie chleb i herbata, na kolacje chleb i herbata" (Ankieta nr. 21).

Inny student ze wsi St. S. użala się, że nie otrzymał ani pożyczki, ani odroczenia, ale pociesza się sam, bo: „jeszcze chwała Bogu, że człowiek ma bezpłatne obiady i mieszkanie..."

„— Gdzie jadacie obiady?

— U Siostry Samueli — nie wiele wart ten obiad; zupa to woda, ale zawsze to coś, przynajmniej coś ciepłego można wypić, dostanie się do tego jeszcze kawałek chleba. Dają jeszcze kawałek mięsa. Mięso nieraz stare, twarde i żylaste. Ale zawsze to coś lepszego, niż nic. Drugi rok bez obiadów, tobym nie wytrzymał.

— Jak to, w poprzednim roku nie jadaliście obiadów?

— Nie jadłem. Na rano, południe i wieczór ciągle tylko herbata z chlebem... mleka też nie kupowałem... Nawet dobrze wyglądałem, ale ku końcu roku człowiek był taki słaby..." (26.7. 1937).

„Najwyższy czas, aby zjeść obiad — pisze w dzienniczku P. S. — Dzięki Bogu siostra zrobiła mi miłą niespodziankę i posłała mi paczkę żywnościową. Spadła jak z nieba. Bo była ze mną całkowita klapa. We wtorek pożyczyłem na obiad. We środę, ponieważ były święta, więc nie warto było wychodzić... na łowy. Zostałem w domu, wogóle się nie ubierałem. Wstałem późno, tak że śniadanie (w tym ostatki chleba) zjadłem około godziny 11-ej, czy nawet trochę później, a więc obiadu już jeść nie musiałem — sposób godny zalecenia dla ekonomistów dla zwalczania skutków kryzysu, jakim jest głód. — Potem praca, następnie dla rozerwania się kilkugodzinna gra w karty, wreszcie o godzinie 6-ej wieczorem (zresztą pora niezdecydowana) — kolacja.

Gospodyni zauważyła, że może za wczesna pora na kolację, ale takie argumenty jak, że się w nocy lepiej śpi, gdy się nie jest sytym oraz że za to apetyt rano będzie lepszy, musiały jej wystarczyć. Chleba się pożyczyło od sąsiadów — nawet masło mieli — zrobiło się pół litra herbaty i kolacja niczego sobie...

Na drugi dzień rano budzę się. Wstać się nie chce, bo i po co, aby myśleć o tak marnej rzeczy jak pożywienie? A więc zasypia się z powrotem. Kilka razy człek się jeszcze budzi i zasypia, aż tu wreszcie ktoś puka: „Proszę pana, listonosz, paczka dla pana". Śni się, czy się nie śni? Nie, rzeczywiście paczka — aż mi się humor poprawił. Bo czy to nie nabierze człowiek pewności siebie, gdy się ma zapewnione i śniadanie i obiad i kolację, gdy nie musi się człek wałęsać jak potępieniec za... forsą. A więc do zobaczenia pamiętniku, idziemy smarzyć kiszkę, bo to dzisiaj piątek, więc gosposia krzywo by patrzyła, gdybym przysmarzał mięso. Ale i kiszka nie najgorsza, robię sobie apetyt na nią..."

(10.XII. 1937)

Rzecz jasna, że przy takich staraniach bledną niedomagania w dziedzinie odzieży. Nie są one jednak mniejsze od poprzednich.

Przytoczę parę przykładów, zdawałoby się skrajnych, nie mniej jednak nie rzadkich.

Oto pisze w dzienniczku ten sam student P. S.:

„Chodzę już trzeci dzień w zniszczonych butach po błocie i wodzie z powodu kilkudniowej niepogody. Buty stale przemoczone, skarpetki nasiąkłe wodą; czuje się nieprzyjemną wilgoć, ale niestety mieszkam zbyt daleko, aby przychodzić do domu, aby zmienić przynajmniej skarpetki, bo drugie buty są zniszczone, a nie ma ich za co naprawić. Czuję, że katar coraz bardziej się powiększa, ale co robić... Jutro chwała Bogu niedziela, więc nie trzeba będzie wychodzić z domu, a na poniedziałek może pogoda się poprawi..."

A inny martwi się:

„Co ja zrobię? Dostałem tylko 1/4 odroczenia, nie dostałem stypendium, chociaż mam takie marne warunki materialne... Zima nadchodzi, a ja nie mam płaszcza zimowego. Muszę narazie chodzić w jesionce, ale za co kupię płaszcz zimowy? Niech szlak trafi akademickie stosunki"

(J. L. 13.XI. 1937)

Nie lepiej przedstawia się sprawa z bielizną. Ten sam student J. L., gdy szedł do egzaminu nie miał czystej koszuli, więc przeprał trochę brudną koszulę, a właściwie jej kołnierz („bo reszty nie widać"). Miał rzekomo otrzymać bieliznę na drugi dzień. Jednak po kilku dniach zauważyłem, że znowu przeprał tym razem już całą koszulę na niedzielę.

Odpowiadający na ankietę podają liczbę ubrań:

1 ubranie	12 osób
2 ubrania	16 osób
3 ubrania	2 osoby

Ubrania te najczęściej nie były odpowiednie do pory roku. Przy jednym ubraniu nie można rzecz jasna mówić o odpowiedniości. U tych, co posiadali 2 ubrania, przeważają wybitnie ubrania nieodpowiednie do pory roku. Na 32 ubrania u posiadaczy 2 ubrań, 16 ubrań zostało określonych jako nieodpowiednie, 8 odpowiednie, 8 ubrań nie określono.

Zbyt znane są zwyczaje akademickie, jeśli idzie o kompletowanie stroju wizytowego na zabawy, czy egzaminy, by mówić o odpowiedniości stroju akademickiego do różnych uroczystości i sytuacyj w życiu.

Podobnie przedstawiała się sprawa z obuwiem. Stan obuwia w przeważającej większości był zły. W ankiecie na ogólną liczbę 53 par butów, stan 17 par został określony jako „dobry", 4 par jako „możliwy", a aż 29 par jako „podniszczony".

O smutnym losie niezamożnej młodzieży akademickiej pisze w sprawozdaniu rektorskim prof. Rektor Maziarski dnia 6.X. 1934 r. w sposób:

„...Smutny i ciężki jest los naszej młodzieży żyjącej i pracującej w najtrudniejszych warunkach — a obok niej przechodzi starsze społeczeństwo obojętnie bez zwrócenia na nią uwagi.."

„...Ciężkie położenie materialne wprowadza ją (młodzież akademicką) niejednokrotnie w konflikt z zasadami etyki, z drugiej chęć użycia i dorównania bogatszym kolegom wiedzie ją na złą drogę...

Na uniwersytecie jest zbyt wielka ilość słuchaczy, „którzy wchodzą w mury akademickie prawie bez środków, łudząc się, że lekcjami lub jakimś innym sposobem zarobkowania, uzyskaniem stypendium lub pożyczkami z funduszu rektorskiego, potrafią przetrwać i ukończyć studia".

Tak mniej więcej przedstawiałyby się warunki materialne studiującej na U. J. młodzieży chłopskiej w ostatnich latach przed drugą wojną światową. Warunki te były na ogół fatalne — inaczej nie można tego określić.

Bezsprzecznie ogólnoświatowy kryzys gospadarczy wycisnął swe piętno na to położenie. nie mniej jednak trudne warunki materialne tej młodzieży były raczej związane z ogólnym ciężkim położeniem wsi, mającym swe źródło w wadliwej strukturze gospodarczej wsi polskiej. Poza pewnymi przebłyskami w niektórych okresach, położenie to zawsze było ciężkie i młodzież wiejska na wyższych uczelniach zawsze natrafiała na przeszkody nieraz nie do przebycia. Tak było po pierwszej wojnie światowej, tak było i przed pierwszą wojną światową.

*) Patrz „Wieś" nr 43 (71).

Piotr Stanisław Ziarnik

WARSZAWA W DNI GROZY, OGNIA i PATOSU

I.

Kazimierz Brandys: „Miasto Niepokonane" — opowieść o Warszawie. Spółdzielnia wydawnicza „Książka" — 1946 r.

Literatura powojenna obfituje w różnego rodzaju utwory przede wszystkim prozaików, traktujące okres wojny i okupacji. Szczególnie na szpaltach pism literackich zapanowało opowiadanie wojenne i okupacyjne przemożnie — i trudno o numer periodyka literackiego, w którymby nie znajdował się szkic, opowiadanie, nowela, fragment powieściowy — osnute na tle koszmarnych dni od września 1939 r. do października 1944 r.

Toteż biorąc do ręki książkę K. Brandysa „Miasto Niepokonane" trudno oprzeć się nieprzyjemnej myśli o nieskończonym ciągu tych literackich fragmentów i ułomków, przeciw którym zaczął buntować się nie tylko szary ale i wykształcony czytelnik Ale już „Słowo wstępne" rozwiewa niepokój. Książka w zamierzeniu nie jest banalna. Zmierza ambitnie ku celom, obcym prozie realistyczno-autentyczno-pamiętnikarskiej, którą parały się i parają setki młodych i starszych pisarzy. „Losy ludzkie zmieszczą się w niej obok dziejów kamienic, bruków i pamiątek. Żarliwą wolą pragnę w niej spisać wszystką swą wiedzę o mieście, z którym dzieliłem losy".

„Słowo wstępne" jest szczerym i śmiałym wyznaniem. Jest w nim patos — wzniosłość z gatunku tej, o której traktuje Pseudo-Longinus — wzniosłość szlachetna. W jej imię Brandys nie waha się w pysznej prozie wstępu skondensować nastroju i wspiąć go aż na wysokość inwokacji i żarliwego wołania o siłę.

„Niechaj mnie natchnie to miasto dokładną pamięcią dni, które z nim przeżyłem, aby żadne kłamstwo nie wyszło mi z pod pióra i nie zmniejszyło wielkości jego prawdy".

Jest w tym początku pietyzm dla miasta i żarliwa szczerość, które będą autorowi towarzyszyć bez przerwy aż do ostatnich kartek, gdy ostatnią prawdę o Warszawie ujrzy w mytej samotnej szybie na trzecim piętrze zdruzgotanej kamienicy.

Autor zostaje im wierny i konsekwentny mimo, że często ta wierność prowadzi go na drogę, skąd tylko jeden krok do deklamacji.

Wchodzimy w dzieje Warszawy — „stolicy wojny" wrześniem 1939 r., którego (nasz) obraz doświadczony osobiście zbogacił się o żołnierską słoneczność z opowiadań Żukrowskiego. Wrzesień Brandysa jest inny. Własny. Warszawski. Zbudowany ze wspomnień, zapełniających całą „książkę" i wyczerpujących się w pierwszych miesiącach 1945 r.

„Treść" — fabularną warstwę tej książki, którą autor nazwał opowieścią — stanowią dzieje człowieka w Warszawie wojującej i okupowanej. Opowieść bowiem ma bohatera. Mimo, że autor we wstępie stara się jego rolę umniejszyć, bohater ten panuje nad całością i wyoruje się z obrazów splątanych ulic, domów i zdarzeń, wyraźną literacką koncepcją. To każe nam przypuszczać, że wstęp powstał później niż całość, albo w trakcie pisania, bo dopiero od fragmentu, zatytułowanego „Sprawy ostatnie", koncepcja i ambicja autora objęły nowe perspektywy. Wtedy dopiero idea dziejów miasta przechyliła wagę spraw i losy bohatera odeszły na plan najdalszy.

Sprawa bohatera nie stanowi w „Mieście niepokonanym" takiego problemu, jak w „Jeziorze bodeńskim" St. Dygata. W opowieści nie nasuwają się czytelnikomi, dla którego Brandys jest tylko pisarzem, żadne wątpliwości, że bohaterem utworu, napisanego w formie opowiadania w pierwszej osobie, jest autor. Żarliwa szczerość i pietyzm dla każdego miejsca Warszawy wykluczają inną możliwość. Zresztą Brandys nie usiłuje w opowiadaniu zakryć osobistego związku z bohaterem, przeciwnie na każdym kroku podkreśla go.

Zestawienie tego utworu z powieścią Dygata ma swe głębsze podłoże. Kazimierz Wyka w październikowym nrze „Twórczości", gdzieś pod koniec artykułu „Tragiczność, drwina i realizm" pisze: „... proza taka jak Brandysa czy Dygata, jest napewno rodem z drwiny, która prócz grymasu samego posiada swój cel. Suchy, ostro obrysowany schemat antymieszczańskiej krytyki, pomieszczonej w dziwacznym środowisku prowincjonalnym, jeśli mowa o Brandysie, więcej przeprowadzona ku celowej grotesce walka z formułą psychologiczną, z wmówieniem zbiorowym u Dygata, to przecież w prostej linii dziedzictwo po Gombrowiczu". Wtedy gdy Wyka to pisał Dygat nie wydał jeszcze „Jeziora bodeńskiego", a Brandys drukował dopiero fragment powieści satyrycznej „Drewniany koń". Po lekturze „Miasta niepokonanego" nie ulega najmniejszej wątpliwości, że albo Wyka zbyt wcześnie uogólniał, albo Brandys przeszedł w ciągu niepełnego roku długą drogę rozwoju, która oddaliła go od Dygata i od wspólnego źródła literackiej i światopoglądowej postawy wobec rzeczywistości.

Skupiona proza, zmierzająca do wydźwięku tragicznego, opromienionego patosem i skąpanego w mądrości filozoficznej człowieka dojrzałego do spokoju — obok tego realistyczna w mnogości drobiazgowych opisów rzeczy i chwil, nie ma w sobie śladów Gombrowicza, ani nie wykazuje pokrewieństwa z Dygatem, dla którego żadne zdanie nie ma znaczenia twierdzącego, ani żaden obraz nie jest stwierdzeniem o zdarzeniu, a tylko punktem zaczepienia lub stopniem przejścia dla igrającego nastroju i drwiny.

Prozie Brandysa należy się osobne studium. Nie miejsce tu na nie. Dla charakterystyki jednak warto zwrócić uwagę na stałą cechę stylu tej prozy. Brandys zawarł dzieje miasta nie tylko w relacji bezpośredniej zjawisk i zdarzeń, ale przede wszystkim w partiach narracyjno-refleksyjnych, które pozbawiony zostały naprawdę po mistrzowsku egotyzmu. Partie te w sumie o wiele przenoszą relacje. Są one jednak stale „obrysowane", lub zamknięte realistycznym obrazem rzeczy. Ciekawe przy tym, że obraz robi wrażenie pointy. Poza tym opis bezpośredni, drobiazgowy spraw, sucha relacja kronikarska i pyszne w swej wycyzelowanej pełni partie naracji mieszają się z partiami refleksyjno-poematowymi, otwierają je, wnikają do nich, albo następują po nich. Nie sposób odszperać w tym zawiłym, a spokojnym tokiem płynącym opowiadaniu, gdzie splotły się różnorodne sprawy, uczucia, zdarzenia i opisy „dni patosu i ognia" — jakiegoś ogólnego schematu kompozycyjnego. Może dlatego ktoś mówiąc o utworze Brandysa powiedział, że ma on „coś z reportażu". To „coś" to chyba zdolność do przeskakiwania od rozważań bardzo ogólnych i bardzo serio do drobnego, epizodycznego opisu i zestrojenie uczuciowe i znaczeniowe (tego bardzo zda się błahego) zdarzenia lub obrazu — danego krótko, beznamiętnie napozór i sucho — z tokiem wielkich spraw i pytań typu: „Czymże ma się bronić człowiek, czym ludzkość, skoro postawiono im przed oczyma straszliwy obraz własnego zła, zdając zresztą na łaskę sumienia, któremu od tak dawna odmawia się niezachwianych praw?"

Stałe przerzucanie się od sprawy do sprawy, od obrazu do obrazu przy konsekwentnie utrzymywanej jednolitości nastroju i tematu, zostawia wrażenie skomplikowanej, bogatej w ludzi, zdarzenia i obrazy c a ł o ś c i. I to jest bodaj że główna cecha prozy Brandysa, opanowanej zresztą i wycezelowanej.

Możnaby wyznaczyć dwie sprawy, o które wspiera się kompozycja „Miasta niepokonanego": chronologię wypadków, każdemu, kto był wówczas w Warszawie, dobrze znanych, i dojrzewanie bohatera — autora do zupełnego spokoju w dni Powstania, które na kartkach tej książki wypadło mniej bujnie i mniej szczerze od dni wcześniejszych.

Autorowi nie udało się dać realistycznego i pełnego obrazu dziejów miasta „w dni owe" nie tylko dlatego, że bohater zasłonił wiele zjawisk i spraw, pozwalając na ich komasację nie zawsze siebie godną, ale i przez brak właściwego i zdecydowanego stanowiska do podziemia. Warszawa była stolicą Polski Walczącej przez cały okres okupacji. W Warszawie koncentrowały się wszystkie nici i drogi polskiego ruchu oporu. U Brandysa tego aspektu Warszawa nie posiada. Wybłyskują na ulice drobne fragmenty, pojedyńcze postacie grupy nawet, ale ani razu Brandys nie wszedł w centrum pracy konspiracyjnej. Przy wycieczkach refleksji na pola Ukrainy, Bretanii przy rozważaniach o echach wojny i przy ambicji przeniknięcia jej sensu — Brandys przedstawił walczącą Warszawę jako zbiorowość niezorganizowaną, a jej ruch uporu i jej walkę jako instynktowne. Brak relacji o tym mózgu, którego ogrom odpowiedzialności za Powstanie przeraża autora, lub jego dalszych mniejszych personifikacjach szkodzi autentyzmowi utworu.

Mimo tego braku, który można tłumaczyć różnymi względami literackimi i poza literackimi, „Miasto niepokonane" jest utworem przewyższającym wszystko, co dotychczas o Warszawie w latach 1939 — 45 napisano.

Nie byłyby pełne te uwagi o „opowiadaniu o Warszawie", które nie mają pretensji być wyczerpującą analizą, gdyby nie dodać, że realistyczny talent literacki Brandysa stawia „Miasto niepokonane" obok czołowych pozycji literackich ostatnich dwu lat: „Jeziora bodeńskiego" Dygata i „Z Kraju milczenia" Żukrowskiego.

II.

Jan Dobraczyński: „W rozwalonym domu" — „Czytelnik" — 1946 r.

Powstanie Warszawskie, które w „Mieście niepokonanym" — Brandysa stanowiło zaledwie fragment, jest dla Dobraczyńskiego zasadniczym tematem powieści. Właściwie nawet nie powstanie jako wielka skomplikowana całość, ale jego drobny wycinek: obrona barykady i narożnego domu na Bielańskiej, która, jak mówi autor na wstępie, „nie jest prawdziwą Bielańską". Zdaje się, że takie pokrewieństwo tematu powinno dać czytającemu te dwie książki w sąsiedztwie bogaty materiał porównawczy. W tym wypadku tak nie jest. Te dwie książki o Warszawie walczącej, o Warszawie heroicznej nie mogą być ze sobą porównywane. Należą do dwu zupełnie różnych gatunków, mimo że przecież obu autorów cechuje ten sam kult dla heroizmu miasta, dla męstwa jego mieszkańców, dla bezprzykładnego w dziejach miast bohaterstwa dzieci, które w sierpniu 1944 r. stały się ludźmi dojrzałymi — żołnierzami w hełmach i bluzach tygrysich — na froncie walki o wartości człowieka.

„W rozwalonym domu" ma wyraźne cechy powieści; została skomponowana w utwór literacki, w określoną rodzajowo całość kompozycyjną i może dlatego nie posiada takiej pasji, jaką zamknąć może tylko narracja, refleksja lub poemat. Wszystkie zalety i wady tego utworu w tym aspekcie mają swe źródło.

Dobraczyński w jednej kamienicy, z której okien widać tylko fragmenty kilku ulic, zamknął dzieje tragicznej walki całego miasta. W kompanii szturmowej „Wacława" upersonifikował tysiące walczących powstańców, wśród których zmieścili się bohaterscy starcy, dojrzali mężczyźni, młodzieńcy, wyrostki, i dzieci (tym została książka poświęcona), kobiety i dziewczęta, cywile i ksiądz. W tym stanie rzeczy postaci, barykada i walka stają się symbolami, mimo i naprzekór wysoce realistycznemu, ludzkiemu i bezpośredniemu obrazowaniu i opisowi. Świat kamienicy i barykady wydaje się zamkniętym i samotnym. Jedyny raz Dobraczyński urządza wycieczkę — rozszerza perspektywy. Dzieje się to w wypadku, gdy do kompanii „Wacława" przybywa dowódca odcinka „Krak", a mały Wojtek wędruje z nim po nieudanym szturmie do Archiwum Akt Dawnych na Długą, a potem na Kilińskiego i Podwale do dowództwa odcinka. Zarówno barykadę, jak i centrum — mózg odcinka przedstawia autor bez patosu i taniej uczuciowości. W chwilach najbardziej napozór nieefektownych. Osiąga jednak w ten sposób sukces jeszcze większy: ostrą wymowę drobnych spraw ludzkich w momencie o najwyższym znaczeniu historycznym.

Jedna kamienica, kilka sąsiednich ulic, dowództwo. Terytorialnie obraz jest wąski. Nie ma perspektyw. Walka powstańczej kompanii, której dowódca nie wierzy w zwycięstwo, bo „nie ma cudów na świecie" nie posiada perspektyw na całość miasta. Inne problemy Powstania również ujęte są wąsko, bo autor nie zastanawia się nad jego sensem historycznym. „Nie myśleliśmy wtedy historycznie" — pisze Brandys, nie ma zamiaru objąć całości obrazu, chce — i to mu się udaje — dać żywego człowieka. To jest największą pasją autora.

W związku z tym Dobraczyński na naczelnym miejscu w powieści stawia: dramat ludzkiego serca i ludzkiej duszy. Na tło beznadziejnej walki miasta wpływają: wieczne zagadnienia śmierci, życia pozagrobowego, cierpienia i ofiary, które stanowią specyficzną atmosferę moralną utworu.

Osią spraw religijno-moralnych jest ksiądz Marek — pilny stróż losu dusz tych ludzi, z którymi wspólnie walczy, którym przewodzi i którymi pod koniec dowodzi jako zastępca „Wacława". Centralnym zaś wątkiem powieści staje się dramat Magdaleny — matki Wojtka, żony Stefana, („Kraka") i przyjaciółki „Wacława". W stosunku do tej koncepcji trójkąta małżeńskiego możnaby wysunąć pewne zastrzeżenia. Do atakowanej przez Niemców kamienicy, walącej się centralnej pozycji odcinka — między bezwiednie heroicznych jej obrońców sprowadza autor przyjaciela, czy kochanka Magdaleny, a następnie jej męża, który ją po latach niesnasek i nieporozumień opuścił. Są oczywista na świecie możliwe najniemożliwsze zdarzenia, ale ten układ osób na tle heroicznego patosu Powstania Warszawskiego zdaje się być tworem sztucznym i nie wypływającym z tła, które przecież częstokroć w utworze wychodzi z roli tła i zajmuje całą scenę.

Oczywiście jest to niezwykły zbieg okoliczności. Dobraczyński taktownie rozwija go i pogłębia, nie pozwalając, aby objawił swe zasadnicze oblicze — sensacji. Wykazuje przy tym dużej miary talent kompozycyjny, powściągliwość realisty i umiar w psychologizowaniu. Do tych zalet, dołącza się przejrzystość języka.

Tym nie mniej powieść rozwiązuje tylko dramat Magdaleny — indywiduum. Za sprawą małego Wojtka, którego sylwetka jest z pewnością najbardziej udana, księdza Marka i wypadków, m. in. śmierci męża — Magdalena zdobywa się na akt świadomego heroizmu. Zostaje na opuszczonej barykadzie, bo to jest barykada jej męża, a ten „gdyby żył, nie byłby zeszedł ze stanowiska". W ten sposób Magdalena jednoczy się ze Stefanem, a ksiądz Marek konstatuje, że jej dom nie jest rozwalony. „To tylko złudzenie. Odbudowała go pani".

Czytającemu nasuwa się wtedy mimowoli pytanie: A co z Powstaniem?

Konkludując zdaje się, że na powieść z tych dni, czy o tych dniach jeszcze za wcześnie. Powieściowy — opisowy obraz Powstania Warszawskiego obrysowany koncepcją literacką zbudować będzie można dopiero z perspektywy. W tej chwili powieść nie operuje takim patosem i taką rozległą skalą uczuć w obrazie realistycznym, któreby stworzyły całość godną tych dni.

Tym nie mniej Dobraczyński w powieści „W rozwalonym domu" osiągnął dużej miary sukces literacki, książka ta bowiem stanowi b. przyjemną lekturę.

Czesław Janczarski

Pierwszy wiersz

Na łąkę kwiatów i metafor
opadł widnokrąg jak spadochron —
i w oczach było tak niebiesko,
że tylko krzyk drapieżny ptaka
wzrok nagle zmienił mi w wykrzyknik!

Wtedy ujrzałem w kartach księgi,
wśród białych kwiatów, białych strof:
uśpionych dzwonów cherubiny
spłynęły nad strumienia kręgi
by unieść biały klęcznik dymu.

Cisza — ach, chmury białorune!
W tej bieli, wzrok zmęczony łuną
okryje wieczór rzęsą cieni.
To pierwszy wiersz, jak we wspomnieniu
najpierwszy wiatru pocałunek.

FAKTY i ZDANIA

NIEMCY BUDZĄ SIĘ

O „bestii hitlerowskiej" gadano i pisano u nas już tyle, że sprawę niebezpieczeństwa niemieckiego „zagadano" na śmierć, utopiono w powodzi frazesów i banałów. Wielu Polakom, zwłaszcza tym „na nie", wydaje się już ta „bestia" potworem niemal równie legendarnym jak smok wawelski. Ale są jeszcze na świecie ludzie, którzy czynią co mogą, aby rozwiać te nasze miłe złudzenia.

Oto np. minister Oldenburga Franz Blucher pisze na łamach „Die Welt":

„Nie chcemy, aby nas zmuszono do tego, abyśmy się stali znowu mącicielami pokoju, lecz pragniemy, aby nasi rolnicy mieli możność powrotu na ziemię niemiecką na Śląsku, w Prusach Wschodnich i w Poznańskiem".

A w piśmie „Landes Ztg." pojawił się artykuł Marii Severich, w którym czytamy:

„Musimy znowu zorganizować „czarną reichswehr", aby siłą rozwiązać problem naszych granic wschodnich".

Jasne? Chyba zupełnie jasne. Nie minęło jeszcze dwa lata od pogromu hitlerowskiej czarnej sotni, a już słyszymy znów: „Deutschland, erwache!" („Niemcy, obudźcie się!"). Całe szczęście, że jak się bardzo głośno krzyczy we własnym mieszkaniu, budzi się także i sąsiadów. Spadkobiercy zbrodniczej ideologii krwawego błazna z Berchtesgaden ryczą: „Deutschland, erwache!" a po naszej stronie granicy echo odpowiada: „Polsko, obudź się!"

Dyplomatyczna nota protestacyjna została już wręczona „odnośnym czynnikom". Ale to mało. Byłoby chyba bardzo ładną demonstracją, gdyby partie nie idące w bloku zadeklarowały wzorem Stronnictwa Pracy gotowość wystawienia wspólnej z blokiem listy na terenie Ziem Odzyskanych. „Chociaż bowiem zgoda jest rzecz głupia i zresztą w polityce nie do osiągnięcia", — jak słusznie mówi poeta, — podkreślenie jednomyślności całego społeczeństwa polskiego w sprawie granic zachodnich byłoby aktem o tak wielkiej doniosłości, że można by w tym wypadku złożyć wzajemne urazy z serca.

Sprawa tym bardziej zasługuje na uwagę, że zuchwałość „demokratycznych" hakatystów każe nam dobrze zastanowić się nad tym, czy nie będziemy potrzebowali zgody narodowej organizować dopiero w obliczu konkretnego niebezpieczeństwa inwazji lub choćby wzmożonej dywersji niemieckiej.

Coraz zuchwalszy ton wystąpień kryptohitlerowskiej kanalii każe nam mieć stale w pamięci fakt, że stoimy wobec wroga, na którego „poprawienie się" lepiej nie liczyć. Pamiętajmy, że w okresie rzekomo demokratycznych Niemiec wejmarskich nawet niemiecka partia komunistyczna domagała się „zwrotu" Śląska i „Korytarza".

Niech się stare panny z Armii Zbawienia bawią w demokratyzowanie Niemiec. Nam powinno zależeć na utrwaleniu jak najdalej wysuniętych na zachód granic Polski i Czechosłowacji, na zapewnieniu niepodległości Łużycom, na umocnieniu się Francji na prawym brzegu Renu, na stworzeniu z Helgolandu i strefy kanału kilońskiego punktów obserwacyjnych i obronnych, strażnic antyagresyjnych oddanych do dyspozycji O. N. Z. czy też Wielkiej Czwórki.

Zły pies to także, co prawda stworzenie Boże, ale rozsądek nakazuje trzymać go na łańcuchu.

a. p.

SPRAWA NAJPILNIEJSZA

Nareszcie jedna ważna sprawa ruszyła z martwego punktu. „Kuźnica" w nr. 43 przynosi w notatce „Pocieszające fakty" (autor — żlk.) wiadomość, że kwestia uposażeń wykładowców na wyższych uczelniach została załatwiona pomyślnie i wynagrodzenie miesięczne zatrudnionego na tego typu uczelni człowieka nauki wzrośnie trzykrotnie w stosunku do jego dotychczasowych poborów. Oby była to pierwsza jaskółka poprawy losu nauczycielstwa polskiego!

Sytuacja bowiem w szkolnictwie jest bardzo poważna: stały odpływ sił nauczycielskich do innych zawodów trwa nadal i należy się obawiać, że o ile położenie materialne nauczycielstwa nie ulegnie zdecydowanej poprawie, będzie pod tym względem coraz gorzej.

Bardzo słusznie nazywa Paweł Jasienica zagadnienie sytuacji materialnej naszego nauczycielstwa „Problemem nr. 1" („Tygodnik Powszechny" nr. 44). W artykule pod tym tytułem znajdujemy obszerny wyjątek z listu pewnego nauczyciela obrazujący szczegółowo rozpaczliwy stan rzeczy w tej dziedzinie. W liście tym m. in. czytamy: „Na początku roku szkolnego dyrektor państwowej szkoły, w której pracuję jako polonista, zapowiedział nam na pierwszym posiedzeniu Rady Pedagogicznej podwyżkę 30%, powołując się na oświadczenie władz szkolnych, tymczasem pensje nasze są niższe od pensji w roku ubiegłym. Kolega mój z tejże szkoły, nauczyciel gimnastyki, otrzymał o 500 zł. mniej niż w przeszłym roku. Koleżanka moja, w ubiegłym roku nie mająca etatu, otrzymywała 1800 zł. W bieżącym roku ma etat 21 godz. tygodniowo, a wczoraj otrzymała pensję — 1200 zł...... Koła Opiek Rodzicielskich przychodzą nam wprawdzie z pomocą, ale przeważnie jest to skromny dodatek do pensji, zresztą bardzo żenujący. Ja w ubiegłym roku pobierałem z Koła Rodzicielskiego ponad 800 zł., w tym roku ma być więcej, ale to nie jest właściwe, aby rodzice moich uczniów dopłacali do mojej pensji urzędnika państwowego jakieś sumki przez litość. W pewnej dobrze mi znanej szkole uczeń odważył się zapytać mojego kolegę, ileby wziął za „dostateczne" ze swego przedmiotu. Wskutek tego, że jesteśmy tak bici przez życie, jesteśmy i lekceważeni".

Oto sytuacja życiowa polskiego nauczyciela. Jeżeli istniejący w tej chwili stan rzeczy utrzyma się nadal, grozi nam to, że ilość wykwalifikowanych nauczycieli spadnie wkrótce poniżej minimum koniecznego dla normalnego funkcjonowania naszego szkolnictwa niższego i średniego. Jest to niebezpieczeństwo narodowe nie mniej poważne niż niebezpieczeństwo grożące nam ze strony Niemiec. Jeżeli pozwolimy, ażeby znajdujące się obecnie w wieku szkolnym dzieci i młodzież weszły w życie jako pokolenie analfabetów i półanalfabetów, zahamujemy tym samym proces odbudowy Państwa i przyczynimy się walnie do obniżenia na szereg lat poziomu umysłowego, a co za tym idzie jakości i produkcyjności pracy naszego społeczeństwa.

Zagadnienia te są szczególnie ważne dla wsi polskiej, która uzyskała wreszcie dogodniejsze warunki kształcenia się. Sprawa poprawy bytu nauczyciela szkoły powszechnej i średniej powinna być jak najusilniej poparta przez przedstawicieli wszystkich trzech partii chłopskich, i z ich strony powinien być wywarty odpowiedni nacisk na sfery rządowe.

Obwiniać jednak wyłącznie rząd byłoby w danym wypadku nieuczciwością i bardzo tanią demagogią. Wiemy, że sytuacja ekonomiczna Polski jest jeszcze bardzo trudna i sporo czasu upłynie zanim warunki bytu materialnego jakoś się u nas unormują. To jedna strona medalu. Druga zaś jest ta, że nauczyciele nie mogą głodując czekać na przyjście siedmiu lat tłustych. Wyjściem, aczkolwiek bardzo połowicznym i nie rozwiązującym sprawy w sposób ostateczny, mogłoby być porozumienie wszystkich organizacji społecznych, kulturalno - oświatowych i zawodowych działających na terenie wiejskim, co do objęcia przez te organizacje opieki nad szkołą i nauczycielstwem na wsi. Chodzi o to, by pomocy dla nauczycielstwa odebrać charakter jakiejś doraźnej akcji filantropijnej, a uczynić ją składnikiem normalnej pracy organizacyjnej uspołecznionych i zdrowo myślących grup chłopskich. Akcja taka musiałaby być zorganizowana centralnie, prowadzona planowo i systematycznie, a nie powinna być zepchnięta na doraźnie improwizowane próby zaradzenia złu przez poszczególne Gminne Rady Narodowe, lokalne komórki różnych organizacji czy przypadkowo sformowane zespoły ludzi dobrej woli. Skoro państwo nie jest jeszcze w tej chwili w stanie rozwiązać w sposób ostateczny zagadnienia poprawy bytu naszego nauczycielstwa, inicjatywę musi przejąć społeczeństwo i społeczeństwo musi ratować polską szkołę.

s. l.

NOWY ZARZĄD ZWIĄZKU ZAW. LITERATÓW POL.

Ostatni zjazd delegatów Związku Zawodowego Lit. Polskich stał pod znakiem współpracy katolików krakowskich z marksistami z „Kuźnicy".

Wybrano nowy zarząd, którego człon główny tworzą właśnie katolicy krakowscy: — Zagórski Jerzy (I. wiceprezes), Natanson Wojciech, (członek Zarządu) oraz przedstawiciele lewicy łódzkiej: Żuławski Juliusz (sekretarz), Żółkiewski Stefan (II. wiceprezes).

Prezesem znaczną większością głosów wybrany został znany krytyk i historyk literatury — Czachowski Kazimierz, kandydat Krakowa i Warszawy. Do zarządu jeszcze weszli — Wat Aleksander (skarbnik — Warszawa), Szewczyk Wilhelm (Katowice, — członek zarządu). Oddział Wiejski Z.Z.L.P. reprezentowany przez 2 delegatów (Olcha Antoni, Piętak Stanisław) nie odegrał większej roli w wyborach do władz Związku. Grupa „Kuźnicy" zgłosiła wprawdzie Olchę, jako kandydata do Zarządu, ale w głosowaniu przepadł on, gdyż Kraków i Warszawa nie udzieliły mu najmniejszego poparcia.

j. ch.

NASI PISARZE ZA GRANICĄ

Wielu pisarzom ułatwiło Min. Kultury i Sztuki tego roku wyjazd za granicę. Oczywiście wszyscy wybrańcy ruszyli, obijając sobie nogi z pośpiechu, do Paryża.

W ten sposób na bruku paryskim w okresie wakacji oglądali swoje twarze nawzajem Dygat, Brandys, Bieńkowski, Pasternak, Hertz, Brzechwa, Minkiewicz, Sandauer, Żółkiewski, Kott, Zagórski, Balicki itd., itd. Nie sposób wszystkich wyliczyć.

Ano pojechali, pogratulować wypada jedynie, życzyć bowiem trzeba, aby jak najwięcej młodych pisarzy wyjeżdżało za granicę i pogłębiało swoje wiadomości o świecie. Jest jedno „ale". Pisarze za granicą dają swoje wywiady, piszą informacyjne artykuły o literaturze polskiej...

Czytajmy te artykuły. Ukazywały się one w „Gazecie Polskiej", organie naszego Rządu, wychodzącym w Paryżu.

I tak Zb. Bieńkowski pisał o krytyce literackiej współczesnej, A. S. o poezji, Kazimierz Brandys o współczesnym czasopiśmiennictwie literackim w Polsce.

Wynik? Ano A. S. pisał o Bieńkowskim jako o jedynym oryginalnym, wnoszącym nowe wartości literackie, talencie poetyckim po wojnie, nawzajem Bieńkowski, pisząc o krytyce, wymienił znowu Artura Sandauera, jako powojenną wielkość krytyczną — Brandys znów, widocznie ogłuszony wielkością Paryża, kreśląc słowa chwały o „Kuźnicy" i „Odrodzeniu", zapomniał np., że wychodzi tyg. lit. „Wieś", ogarniający szeroką grupę pisarzy chłopskich, pisarzy nie bez znaczenia, natomiast — o ironio — rozpisał się w dość wyraźnych superlatywach o prasie literackiej katolickiej, o „Tygodniku Powszechnym" i o „Dziś i jutro".

Wydaje się nam, że coś w tym wszystkim nie jest w porządku. Chwalić? Owszem chwalcie się, to jeszcze uchodzi, nie uchodzi jednak co innego. Wymaga się panowie, abyście byli przecież choć trochę objektywni i rzetelni.

Można nienawidzieć chłopów i literaturę chłopską, ale zwykła przyzwoitość, a nawet obowiązek wymaga, by informując Polaków zamieszkałych we Francji o literaturze współczesnej polskiej, wspomnieć i o poezji autentystów, choćby o Frasiku, Ożogu, Kubińcu i Ozdze - Michalskim — no i ob. Brandys napisać, że jednak wychodzi w Polsce od czasów lubelskich pionierskie, o dużym znaczeniu społecznym i literackim czasopismo „Wieś".

j. ch.

CZYTAJĄC PRASĘ LITERACKĄ

Dziwne się rzeczy dzieją dzisiaj w literaturze polskiej. Takich kapliczek i koterii literackich nie było ani przed wojną u nas w Polsce.

Dla czytelnika, który czyta np. tylko „Dziś i jutro" największym powieściopisarzem współczesnym jest Jan Dobraczyński, Bogu ducha winny, debiutant przeciętny. Dla czytelnika znów „Kuźnicy" wydać by się mogło, że Otwinowski jest to pisarz co najmniej równy Proustowi.

A tymczasem wiele zjawisk literackich choć skromnych, lecz oryginalnych nie zauważa się celowo i przemilcza je, a tymczasem o wielkich twórcach, co zmarli lub padli w czasie okupacji, nie tylko nie pisze się wcale, ale usiłuje zepchnąć się ich w niziny zapomnienia.

(Historia pośmiertna wielu wybitnych poetów dwudziestolecia — Czechowicz, Sebyła, historia wielu pisarzy o znaczeniu zasadniczym — Irzykowski, Kaden).

Rozgrywki polityczne, ich atmosfera wtargnęły i do życia literackiego, i decydują o nim. Nie chodzi o sprawiedliwą ocenę, lecz tylko o taktykę. Kto potrzebny danemu obozowi, danej partii — tego się uwielbia, tego się wysuwa. Inni — ano nawet niech przepadną. Nie są wszakże przydatni doraźnie.

Doprawdy niedobre to wszystko rzeczy...

j. ch.

„WOLNA GROMADA"

Ukazały się numery 1 i 2—3 (podwójny) czasopisma „Wolna Gromada". Pismo to, będące organem radykalnej młodzieży chłopskiej, zapowiada się bardzo interesująco i może odegrać doniosłą rolę w kształtowaniu się postawy ideowej mas ludowych. „Wolna Gromada" podejmuje bowiem krytykę, krytykę bardzo odważną i zasadniczą, rozmaitych „świętości" uznawanych dotychczas przez ogół chłopstwa za nietykalne i w żadnym wypadku nie podlegające zakwestionowaniu.

„Wolna Gromada" — będzie pismem wolnych młodych chłopów szukających najkrótszej drogi do realizacji w pełni Polski Ludowej, którym śmiałości myśli, niezależności poglądu, nie przytępią tradycyjne opory, autorytety nazwisk, uświęcone programy i pojęcia" —

czytamy w otwierającym nr. 1 wstępie redakcyjnym. Jest w tym światoburczym wyznaniu nieco przesady, boć przecie trudno odrzucając jedne autorytety oraz „uświęcone programy i pojęcia" nie przyjąć innych, może nie mniej „uświęconych", — ale hasło bojowe jest zawsze tylko hasłem bojowym i nie poprawność logiczna rozstrzyga o jego wartości i ważności, ale to, jakie siły zdoła ono obudzić i w jakim pchnie je kierunku.

Młodzieżowe pisma wiejskie wypełniane były zazwyczaj albo „zasadniczymi" rozważaniami, zwykle bardzo ogólnikowymi, albo „twórczością własną" o bardzo rozmaitej wartości literackiej. „Wolna Gromada" (przynajmniej jak dotychczas) ustrzegła się i referatowości i nadmiaru literatury, co świadczy bardzo dobrze o ambicjach zespołu redakcyjnego pisma.

Bardzo dobrze świadczy również o tym zespole, że zrezygnował on z naiwnego propagandyzmu wykładającego z zapałem „kawę na ławę", ale rozłożył wykład swojego stanowiska ideologicznego na artykuły z pozoru zupełnie historyczne (np. „W drugą rocznicę odrodzenia „Wici" — M. Tupalskiego czy „O czym pisali Wiciarze dwa lata temu"). Artykuły pozornie czysto wspominkowe wciągają czytelnika w problematykę jak najbardziej aktualną, zmuszają go do myślenia nad najważniejszymi dla młodzieży wiejskiej zagadnieniami chwili bieżącej.

„Wolna Gromada" jest redagowana planowo i dorzecznie. W nr. 2—3 np. artykuł M. Kumy „Na marginesie XI sesji K. R. N." wprowadzający do numeru zagadnienie obrony naszych granic zachodnich przed zakusami Niemców i ich niepowołanych „opiekunów", znajduje „podparcie" i rozwinięcia w trzech pracach („Oświęcim" — J. Domańskiego, „Przyjaciele Niemiec" — I. Rybczyńskiej, „Kartka z pamiętnika" H. Jurkowa).

Rozpisałem się szeroko o redagowaniu „Wolnej Gromady", ale nic w tym dziwnego: dobrze redagowane pismo ludowe to jeszcze dotychczas unikat.

Z artykułów zamieszczonych w „Wolnej Gromadzie" na plan pierwszy wysuwa się obszerna praca Ludomira Stasiaka „Rozważania o Wiciach". Trudno byłoby pisać się na wszystkie twierdzenia autora, gdyż sporo w nich jest uproszczeń: łatwego generalizowania, a zbyt bezkrytyczny kult św. Maszyny i św. Specjalizacji bywa miejscami wręcz irytujący. Tym nie mniej przeprowadzona przez Stasiaka krytyka rozmaitych mitów pokutujących do dziś w umysłowości chłopskiej jest bardzo celowa, gdyż może sprowokować zasadniczą dyskusję na temat najbardziej podstawowych założeń ideologii ludowcowej i przyczynić się w ten sposób do wyjaśnienia wielu spornych zagadnień.

a. p.

W OSTATNIM 44 (72) NUMERZE „WSI" z dnia 10 listopada 1946

Jan Aleksander Król — **Z czarnej Anglii;** Stanisław Piętak — **Partyzant i dziewczyna;** Józef Pogan — **Inspekcja;** Seweryn Skulski — **Gorzkie prawdy;** Aniela Gut - Stapińska — **Z prawdziwego zdarzenia;** Jan Bolesław Ożóg — **Ścigany;** Jan Kobiela — **Marchwiane refleksje;** Piotr Wyrobek — **O honor chłopski;** Stefan Lichański — **„A walczącym bojowy znak";** A. Kwiecień — **Mazury;** Komunikaty, ogłoszenia, 6 ilustracji, 8 stron.

Książki nadesłane do Redakcji

Helena Boguszewska — **Nigdy nie zapomnę,** str. 165, Spółdzielnia Wyd. **„WIEDZA",** Warszawa 1946.

S. Czerny et F. Jungman — **Les aventures de Polo,** str. 131. **„KSIĄŻNICA ATLAS",** Warszawa, Wrocław, Kraków 1946.

Zenon Klemensiewicz — **Gramatyka współczesnej polszczyzny kulturalnej,** str. 179, **„KSIĄŻNICA — ATLAS",** Warszawa — Wrocław — Kraków, 1946.

Janina Wójcicka — **Z dna ciemności,** str. 83 + 3 nlb, Wydawnictwo **EUGENJUSZA KUTHANA,** Warszawa 1946.

Janina Wójcicka — **Czynom i prochom,** str. 39 + 5 nlb., Wyd. **EUGENIUSZA KUTHANA.**

Ludwik Rajewski — **Oświęcim w systemie RSHA,** str. 189, Wyd. **EUGENIUSZA KUTHANA,** Warszawa 1946.

Stanisław Piętak — **Front nad Wisłą,** str. 182, Spółdzielnia Wydawnicza **„CZYTELNIK"** 1946.

WYDAWNICTWA „KSIĄŻKI":

Jan Rostand — **Owady,** str. 120.

Włodzimierz Komarow — **Lamark,** str. 248.

Juliusz Słowacki — **Beniowski,** str. 141.

Irena Millerowa — **Nowele,** str. 45.

Antoni Makarenko — **Poemat pedagogiczny** str. 228.

Jan Papuga — **Szczury morskie,** str. 183.

Anatol France — **Zbrodnia Sylwestra Bonnard,** str. 199.

Jerzy Kowalewski — **Ludowa Jugosławia,** str. 90.

OD ADMINISTRACJI

Administracja tygodnika „Wieś" przypomina o wpłacie zaległej prenumeraty

Nr. Konta P. K. O. Łódź VII—1080

Prenumerata „Wsi" wynosi zł 25 miesięcznie, zł 75 kwartalnie i zł 150 półrocznie.

Redaktor naczelny: Jan Aleksander Król. **Komitet redakcyjny:** Kałużyński Zygmunt, Morton Józef, Ozga - Michalski Józef, Piętak Stanisław. **Komitet terenowy:** Frasik Józef Andrzej, Nędza - Kubiniec Stanisław.

Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska **96,** tel. 100-98.

Redakcja rękopisów nie zwraca.

Wydawca: Zarząd Główny Zw. Samopom. Chłopskiej.

Ceny ogłoszeń: kolumna zł. 60.000, 1/2 kolumny zł. 30.000, 1/4 kolumny zł. 15.000, 1/8 kolumny zł. 8.000, 1/16 kolumny zł. 5.000. Ogłoszenia przyjmuje redakcja tyg. „Wieś", Łódź, Piotrkowska 96, I p., tel. 100-98.

Drukarnia Nr. 4 Sp. Wyd. „Czytelnik" — Łódź ul. Żwirki 2. D—06436